32 STRONY

ziemia

• ROK II • NR 10(12) • PAŹDZIERNIK 1957 • 5 ZŁ •

NASZA OKŁADKA

przedstawia parę młodych krajoznawców na jesiennej wycieczce. O tym jak trzeba się na taką okazję ubrać piszemy na stronie 30.
Fot. Wojciech Plewiński



PRENUMERATA W KRAJU

Prenumeratę na I kwartał 1958 (i następne) przyjmują placówki pocztowe, listonosze, centrala „Ruchu" w Warszawie, Srebrna 12 (konto PKO dla wpłat 1-6-100 024) oraz Oddziały „Ruchu" w W-wie, w miastach wojewódzkich i powiatowych — od 16 listopada DO 15 GRUDNIA

Państwowe Wydawnictwo Naukowe, W-wa, Krakowskie Przedm. 79 przyjmuje wpłaty DO 25 KAŻDEGO MIESIĄCA na miesiąc następny i dalsze. Konto PKO dla wpłat 1-6-100 214. Cena prenumeraty (zarówno „Ruchu" jak i PWN) kwartalnie 15 zł, półrocznie 30 zł, rocznie 60 zł.

PRENUMERATA ZE ZLECENIEM WYSYŁKI ZA GRANICĘ

Czytelnicy posiadający krewnych i znajomych za granicą mogą zaprenumerować nasze pismo ze zleceniem wysyłki za granicę w PKWZ „Ruch", W-wa, ul. Wilcza 46, nr konta PKO 1-6-100 024. Cena tej prenumeraty — kwartalnie 21 zł, półrocznie 42 zł, rocznie 84 zł.

POPRZEDNIE NUMERY ZIEMI

Numery z roku 1957 — można nabywać we „Wzorcowni" Państw. Wyd. Naukowego w Warszawie, Miodowa 10, lub zamawiać listownie pod tym samym adresem. Numery 1 i 2 z roku 1956 nabywać można w sklepach antykwarycznych „Ruchu" w Warszawie, przy ul. Wiejskiej 14 i Puławskiej 108, oraz zamawiać listownie w centrali „Ruchu" w W-wie, Srebrna 12, Dział Sprzedaży Prasy Antykwarycznej.

ZA GRANICĄ

zamawiać można ZIEMIĘ na 15 dni przed datą prenumeraty wpłacając odpowiednią sumę na konto 2-38-51 Narodowy Bank Polski, Warszawa, Traugutta 7, dla CHZ „Ars Polona", zaznaczając wyraźnie: „wpłata na prenumeratę ZIEMI" i podając dokładny adres, na który pismo ma być wysyłane.

Cena ZIEMI: w St. Zjednoczonych AP — dol. 0,35, rocznie 4,20; w Wielkiej Brytanii £ 0.2.3, rocznie 1.8.9; we Francji — Fr. 105, rocznie 1380, w Niem. Republice Federalnej — DM 1,30, rocznie 19,20; w Australii — ŁA 0.2.7, rocznie 1.10.7. Cena egzemplarzy archiwalnych jest wyższa o 10%.

Zamówienia na ZIEMIĘ można także składać m. in. w następujących księgarniach: ZSRR — w „miestskich i gorodskich Otdiełach Sojuzpieczati"; NRD — Zeitungsvertriebsamt II C, Berlin NW, Clara Zetkin str. 62; Czechosłowacja — 1) Melantrich, Abt. f. Ausl. Presse, Praha XVI, V. Hugo 4, 2) PZKO Knihkupecvi Karvina II/Doly tr. Cslow. Armady, 3) PZKO C. Tešin Gottvaldova 15; Anglia — Cracovia Book Company, 58 Pembroke Rd. London W 8; Australia — 1) Current Book Distributors, 40, Market Street Sydney, New South Wales, 2) Gordon & Gotch (A) Asia Ltd. Melbourne; Israel — 1) „Sifriat Poalim" Workers Book-Guild (Hasomer Hatzair) Ltd. Tel-Aviv, 73 Allenby St. P.O.B. 526, 2) „Haifiepac", Haifa, Arlosorov St. 11 Nordan St. 15 P.O.B. 1794, 3) „Lepac", Tel-Aviv, P.O.B. 1136; Kanada — Syrena Book and Travel Agency 2 P. 94 A Dundas Street, W. Toronto 3, Ontario; Francja — 1) Le Livre Polonais en France, Paris VIII-ème, 29 bis, rue Jean Goujon, 2) Agence Litteraire et Artistique Parisienne, 7, rue Debelleyme, Paris III-e; USA — Dolphin Service, 441 Belleview Drive, Falls Church 1, Virginia.

ziemia — ilustrowany miesięcznik krajoznawczy, organ POLSKIEGO TOWARZYSTWA TURYSTYCZNO-KRAJOZNAWCZEGO. Przewodniczący komitetu redakcyjnego — MAREK SOBOLEWSKI, redaktor naczelny — PRZEMYSŁAW BURCHARD, zast. red. nacz. — JANUSZ GRZYBOWSKI, sekr. red. — MACIEJ KUCZYŃSKI, red działu — MARIAN KORNECKI i LESZEK DZIĘGIEL, układ graficzny — ZBIGNIEWA ŁAGOCKIEGO. Adres redakcji: Kraków, Basztowa 6. PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE. Oddział w Krakowie, Smoleńsk 14, tel. 596-76. Nakład 18.005. Zam. 569/57. M-13. DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

RENESANSOWE PAŁACE NA ŚLĄSKU

TADEUSZ CHRZANOWSKI

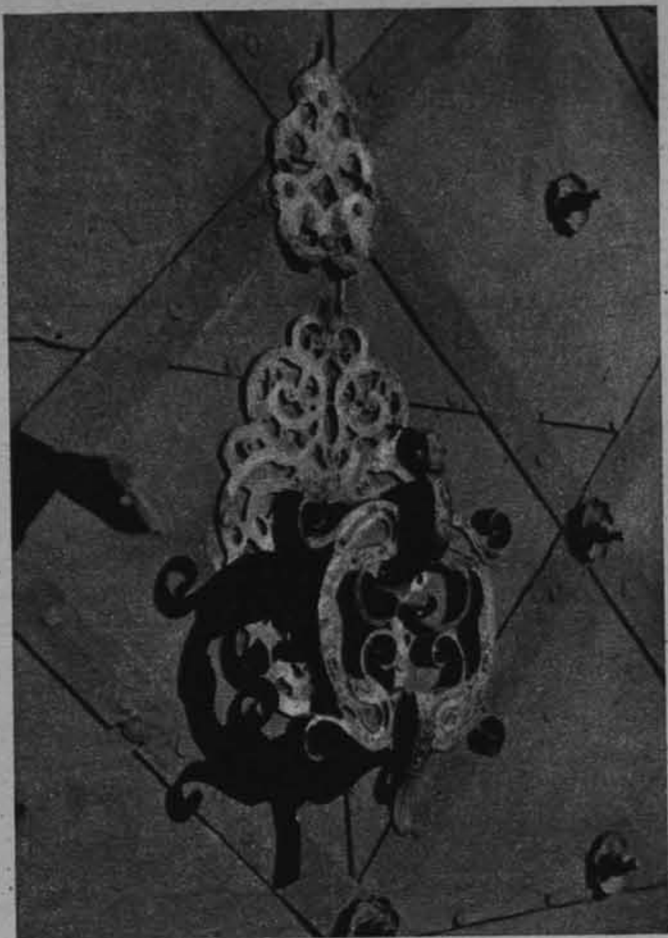
W roku 1955 i 1956 byłem częstym gościem na Śląsku. Zbierałem tam materiał fotograficzny do obszernej monografii zamków śląskich, opracowanej przez prof. B. Guerquina, a mającej się ukazać nakładem wydawnictwa „Budownictwo i Architektura". Odbyłem w sumie cztery wyprawy, a ich bilans to: 5800 km na motocyklu, a ponadto kilkaset pociągiem, 84 „obfotografowane" obiekty, a w końcowym rezultacie około 2000 negatywów.

Do albumu weszło około 80%. Reszta obiektów odpadła z tego najczęściej względu, że reprezentuje zbyt mało cech obronnych, że zalicza się już do architektury pałacowej, nie zaś do kategorii zamków „sensu stricto". Ponieważ jednak w tej właśnie grupie znajduje się szereg zabytków stosunkowo mało znanych, prawie nigdzie nie reprodukowanych, chciałbym się więc zająć kilkoma przedstawicielami owego śląskiego renesansu, który wciąż jeszcze stanowi termin niezbyt jasny, nie dostatecznie określony w historii sztuki. Jest jeszcze inna przyczyna: zabytki o których chcę mówić znajdują się bez wyjątku w bardzo złym stanie.

Oczywiście nie są to przykłady największej dewastacji i opuszczenia. Spośród obiektów, które wejdą do albumu przynajmniej połowa znajduje się w równie opłakanym stanie. Ale cóż: zamki to na naszym terenie pojęcie związane nierozdzielnie z obrazem ruin i opuszczenia. Daleko nam do tego rodzaju zespołów jak np. zamki nad Loarą, z których każdy jest „małym" muzeum. Niestety spośród tych obiektów, które wojnę przetrwały niezniszczone, zamieszkałe, zabezpieczone, większość przedstawia się dziś jako straszliwe rudery. Przykłady? O ogromnym Książnie pod Wałbrzychem pisano już wiele. Nie chcę się powtarzać. Gotycko-renesansowy zameczek wodny w Wojnowicach koło Wrocławia jest opuszczony, zrujnowany, skazany na zagładę, o ile się go natychmiast nie zabezpieczy. Wojnowice to zupełnie wyjątkowy na naszym terenie obiekt, zarówno jeśli idzie o kształt architektoniczny, jak i stan zachowania w niemal niezmienionej, pierwotnej formie. Niezwykle ciekawy, na rzucie owalnym założony zamek w Owieśnie pod Dzierżoniowem — stan jak Wojnowice. Uraz pod Wrocławiem nietknięty w r. 1945, dziś prezentuje się jak ruiny po silnym bombardowaniu. Prochowice pod Legnicą w najbliższym czasie podzielą los Urazu. Witosławice pod Henrykowem, mimo że użytkowane i zamieszkałe, pozostawiają wiele do życzenia pod względem stanu zachowania. Obie wieże mieszkalne w Rakowicach Wielkich pod Lwówkiem w stanie opłakanym. Świeżawa niezamieszkała i zagrożona ruiną. Grodziec Piastowski — ponury obraz doszczętnej dewastacji istniejącego tam niegdyś muzeum. Biestrzyków pod Wrocławiem wypalony i grożący zawaleniem. Zameczek w Leśnicy pod Wrocławiem wypalony i niezabezpieczony. Zamek w Oławie wypalony — o odbudowie oczywiście nikt nie myśli nawet. Głogów oczywiście też spalony. Kamienna Góra...

O Kamiennej Górze chciałbym nieco szerzej. Zasadniczo zamek nie leży w obrębie miasta i niegdyś stanowił osobną miejscowość (po niemiecku Kreppelhoff). Jest to wyjątkowej, nawet jak na Śląsk, klasy dzieło renesansu. Jakkolwiek pałac odnowiony został dość nieszczęśliwie w XIX w. (nadbudowa wieży) to jednak zarówno swą formą, jak i ogromnym bogactwem architektonicznego wystroju wysuwa się na czoło tego rodzaju zabytków (np. Gorzanów i Płakowice — o których niżej). Do zamku — pałacu prowadzi brama zwieńczona fantazyjnym, typowym dla północnego renesansu szczytem, cała kipiąca od rzeźb. Szeroko założony (przekształcony podczas zeszłorocznej przebudowy) portal wejściowy prowadzi na dziedziniec niegdyś arkadowy. Jednakże przejście od bramy do zamku to nielada problem: PGR, który włada pałacem, urządził bowiem w jego otoczeniu, a nawet w nim samym — w sieni i na dziedzińcu — wygon dla krów. Wokół pałacu rozpościera się więc błotnista topiel, mieszana co dzień przez dziesiątki racic. Gdy oglądać pałac z zewnątrz, stan jego nie wydaje się jeszcze tak rozpaczliwy, choć okna o subtelnie kutych obramieniach zieją pustką, pozbawione szyb i futryn. Cały jednak ogrom dewastacji ujawnia się dopiero wewnątrz: już dziedziniec zarośnięty chwastami i zasłany osypującymi się tynkami robi ponure wrażenie. Sale parteru zasypane gruzem (w tym kilka sal sklepionych na pojedynczych słupach). Najstraszliwiej przedstawia się piętro, gdzie nie tylko nie ma już drzwi czy okien, lecz nawet podłogi i stropy są pozrywane. Skacząc z belki na belkę z narażeniem życia, oglądałem wyjątkowo piękne portale, ocalałe w tych zrujnowanych pomieszczeniach.





Obok: kołatka z bramy pałacu w Goli koło Niemczy. Wszystkie zdjęcia Tadeusza Chrzanowskiego.



Z prawej: dziedziniec pałacu w Gorzanowie. Olbrzymi ten budynek jest prawie pusty. Tylko w bocznych skrzydłach mieszka kilku pracowników PGR-u.

Poniżej: fragment sztucznej groty w gorzanowskim parku. Na zdjęciu widoczne zniszczone rzeźby barokowe. Na stronie sąsiedniej: pałac w Gorzanowie. Na pierwszym planie czworobok budynków gospodarczych.





Powyżej: pałac w Gorzanowie wg. stalorytu T. Blatterbauera z połowy XIX wieku. Poniżej: jeden z portali zdewastowanego pałacu w Kamiennej Górze. Na pałacowym dziedzińcu PGR urządził wygon dla krów.



Wśród brudu i gruzu radosne groteski pną się po ościeżach, a w belkowaniach syreny, pegazy, mitologiczni bogowie i monstra średniowieczne zachwycają i rozśmieszają równocześnie. Daty na tych portalach wskazują na lata 70-te i 80-te XVI w., jako na czas powstania pałacu. Luttsch (Verzeichniss der Kunstdenkmäler in Schlesien) wspomina, że znajdowały się tu — nie mówiąc już o meblach i innych ruchomościach — także witraże z epoki renesansu i gotyku. Dziś oczywiście tylko niebo przegląda się w oknach, a na trzęsawisku, które było niegdyś trawnikiem, apatyczne krowy przeżuwają monotonnie pastwiskowe przysmaki.

Przejdźmy jednak do tematu właściwego, do obiektów, które chciałbym najkrócej scharakteryzować. Równie przygnębiające i oburzające zarazem wrażenie co Kamienna Góra, zrobił na mnie stan słynnego pałacu w Gorzanowie. Piszę słynnego, gdyż o Gorzanowie pisano, a przynajmniej reprodukowano go często. Położony w bardzo malowniczej okolicy, w pobliżu Bystrzycy Kłodzkiej, panuje nad otoczeniem swą wyniosłą sylwetą. Miejscowość wzmiankowana w r. 1341 istniała z pewnością wcześniej i niemal od początku stanowiła własność Herbersteinów, jednego z najmożniejszych rodów śląskich. Pierwotnie istniał tu zamek, którego ślady widoczne były w początku ubiegłego wieku w pobliżu kościoła. Obecny pałac wzniesiony został zapewne w latach 60-tych XVI w. Około połowy XVII w. uległ pewnym przemianom — dotyczyło to jednak raczej wystroju wnętrza (kaplica). W tym samym czasie (1637—40) powstała w parku sztuczna grota — pawilon, wyjątkowe dzieło baroku. W latach 1737—8 nastąpiła dość znaczna przebudowa i odnowienie, które jednak nie zatarły pierwotnego, renesansowego charakteru budowli.

Na zespół pałacowy, usytuowany na krawędzi płaskowyżu, składa się zwarty czworobok budynków: obok korpusu głównego i jego skrzydeł zamykających się wokół dziedzińca, znajdują się tu również budynki gospodarcze, zgrupowane wokół dziedzińców zewnętrznych. Jest to zresztą cechą częstą wśród zabytków śląskich, że pałace nie są wyizolowane z obejścia gospodarskiego, lecz łączą się z nim bezpośrednio: z jednej strony taki pałac opiera się o założenie parkowe, z drugiej graniczy niemal z oborami i stajniami. W Gorzanowie, co więcej, nastąpiło poprostu zespolenie tych wszystkich zabudowań.

Główny budynek, dwupiętrowy, o prostych lecz szlachetnych proporcjach, zwieńczony szczycikami i nakryty wielkim siodłowym dachem posiada na osi elewacji, od strony dziedzińca wyniosłą wieżę, nakrytą barokowym hełmem. Dość prosty i surowy od strony parku, cały przepych i ozdobność prezentuje od strony dziedzińca: sgraffita, attyki, gzymsy lunetowe, dwubiegowe schody, obramienia okien — wszystko to składa się na wyjątkowo piękną całość. Niestety: olbrzymi ten budynek stoi pusty, gdzieniegdzie tylko w bocznych skrzydłach mieszkają pracownicy PGR-u. Na dziedzińcu stoi stóg siana i biegają kury i prosięta. W salach recepcyjnych pustka i zacieki. W skrzydłach bocznych częściowo pozrywane polichromowane stropy, wystrój kaplicy, stiuki i ołtarze porozbijane. W pustych amfiladach śmierdzi grzybem i opuszczeniem... Wspaniała rezydencja aż prosi się, by wykorzystać ją jako dom wypoczynkowy, szpital lub sanatorium.

W parku odnajdziemy wzmiankowaną już grotę — pawilon. W jej wnętrzu aż kipi od stiukowej, barokowej feerii. W kopule tłoczą się putta i kształty roślinne, ale w niszach wejść — tam gdzie łatwo sięgnąć — mitologiczne bóstwa są już tylko kadłubami bez głów i bez kończyn.

W pobliżu Gorzanowa, właściwie w samej miejscowości znajdował się drugi niewielki renesansowy pałacyk, wzniesiony niemal równocześnie z główną rezydencją (1573), a zwany Ratschenhof. Niestety spłonął w czasie wojny i dziś stoją tylko puste ściany tego wyjątkowo pięknego dzięki bogactwu sgraffitowej dekoracji budynku.

DALSZY CIĄG NASTĄPI



Wojciech Plewiński

KARPACKIE LASY

STEFAN MYCZKOWSKI

Wśród trzech odrębnych obszarów górskich naszego kraju: Karpat, Sudetów oraz Gór Świętokrzyskich, leśne tereny karpackie zajmują najważniejsze miejsce z punktu widzenia gospodarki narodowej. Fakt ten jest oczywisty pomimo, że szata leśna Karpat uległa w ubiegłych stuleciach daleko idącym zmianom, spowodowanym nieprzemyślaną gospodarką.

Pierwszym etapem przemian w puszczy karpackiej był rozwój osadnictwa. Od północy wzdłuż dolin i przełomów rzek wkraczało osadnictwo rolnicze, opanowujące coraz wyżej położone i trudniej dostępne obszary i zamieniające je na pola uprawne. Równocześnie ze wschodu, a częściowo z południa napływały gromady pasterzy. Postępując wzdłuż grzbietów pasm karpackich zajmowali oni pod wypas i wylesiali przede wszystkim grzbietowe i przygrzbietowe partie gór. Działalność obu kierunków osadnictwa, przy wzmagającej się stale — w miarę postępu techniki — eksploatacji drzewostanu oraz powszechnym i szablonowym zalesianiu świerkiem w XIX wieku, złożyły się na obraz współczesnej szaty leśnej Karpat.

W chwili obecnej pomimo wielkiego zniszczenia naturalnych lasów karpackich możemy jeszcze odtworzyć obraz pierwotnej puszczy dzięki zachowanym resztkom naturalnych zespołów leśnych. Znajdujemy je przede wszystkim w górskich parkach narodowych i rezerwatach przyrody. Podstawy teoretyczne dla odtworzenia obrazu dawnej, pierwotnej puszczy karpackiej daje nam ekologia, nauka zajmująca się badaniem warunków rozwoju lasu. Studia nad tym zagadnieniem oprócz znaczenia naukowego przedstawiają również wartość dla praktycznego leśnictwa, pozwalają bowiem na przeprowadzenie tzw. przyrodniczego podziału Karpat.

W Karpatach podobnie jak i w innych obszarach górskich warunki życiowe lasu różnicują się w kierunku poziomym (geograficznie) oraz w kierunku pionowym (wysokościowo). Pierwsze z tych kryteriów uzależnia podział Karpat na jednostki terytorialne: Tatry, Pieniny, Kotlinę Nowotarską, Beskidy (Zachodni i Wschodni) oraz Pogórze Karpackie. Te duże, odrębne części dzielimy na szereg drobniejszych jednostek przyrodniczych. W ramach podziału wysokościowego wyodrębniają się tzw. piętra roślinne, powtarzające się na zbliżonych wysokościach w poszczególnych jednostkach terytorialnych. Mamy tu więc do czynienia z piętrem pogórza oraz piętrami regla dolnego i regla górnego, charakteryzującymi się występowaniem odmiennych zespołów leśnych, w chwili obecnej bardzo zresztą zniekształconymi.

Jedną z wybitnych cech ukształtowania pasm karpackich w Polsce jest wyraźne i często ostro zaznaczone w terenie przejście od obszaru o cechach pogórskich, do tzw. poziomu górskiego. Piętro pogórza nie jest przyrodniczo jednolite. Dzieli się ono mianowicie na dwie strefy wysokościowe: niższą (tzw. pogórza lessowego) oraz wyższą (tzw. pogórza flisowego). Również przy przechodzeniu w głąb dolin karpackich przez piętro leśne pogórza, napotykamy na wyraźną zmienność siedlisk leśnych.

W szerokim pasie Pogórza, przebiegającym u stóp Karpat od tzw. „progu karpackiego" na północy aż do podnóży Beskidów, oraz w zasięgu głęboko ku południowi wciętych w Karpaty języków pogórskiego piętra leśnego, daje się powszechnie obserwować zjawisko przejściowości siedlisk leśnych od niżu do obszarów górskich. W chwili obecnej około 80% obszaru Pogórza zajętego pod uprawy rolnicze pozbawione jest drzewostanu; mimo to można jeszcze z zupełną pewnością stwierdzić wspomniany przejściowy charakter lasów tego piętra roślinnego. Występują tu jeszcze, wprawdzie rzadko, górskie drzewostany bukowo-jodłowe, zaś obok nich drzewostany sosnowe, lub dąbrowy z grabem i dąbrowy z sosną, których główną domeną w Polsce są obszary niżowe, a które w karpackim piętrze pogórza osiągają górną granicę swego występowania w Polsce. Pogórze karpackie pomimo przejściowych warunków przyrodniczych („niżowo-górskich") zaliczamy do Karpat ze względu na występowanie tu zespołów i gatunków roślin o charakterze wybitnie górskim, nie spotykanych w niżowych obszarach Polski.

Z leśno-gospodarczego punktu widzenia najważniejszym piętrem leśnym Karpat jest regiel dolny, obejmujący około 70% obecnej powierzchni leśnej. Występują tu lasy bukowo-jodłowe z domieszką świerka, jaworu, jesionu i wiązu górskiego. Obecnie znane są nam dwa zbiorowe typy siedliskowe buczyn dolnoreglowych: a) buczyna karpacka z lokalną przewagą buka lub jodły, a często z domieszką bardziej „wymagających" gatunków (jaworu, jesiona i in.) oraz b) buczyna kwaśna zajmująca w porównaniu z poprzednią uboższe siedliska regla dolnego (m. i. grzbiety), a odznaczająca się zwykle dużą domieszką świerka. Ponadto występują z natury w reglu dolnym czysto świerkowe rodzime drzewostany, związane m. in. z kwaśnym i ubogim podłożem. Grab i dąb w reglu dolnym z natury już nie występują.

Przy ogólnym omawianiu lasów regla dolnego trudno pominąć fakt, że obecnie miejsca dawnych buczyn, jedlin i świerczyn zajęły sztucznie wprowadzone przez człowieka nie rodzime drzewostany świerkowe. Porastają one obecnie około 80% nieodpowiadających im siedlisk bukowo-jodłowych, z wielką stratą dla naszej gospodarki narodowej. Wprowadzenie tu rodzimych gatunków drzew jest jednym z najważniejszych zadań, stojących obecnie przed leśnictwem polskim.

Ostatnie, najwyższe piętro leśne Karpat nazywamy reglem górnym. W odróżnieniu od szeroko rozprzestrzenionych w naszych Karpatach siedlisk leśnych pogórza i regla dolnego, właściwy regiel górny występuje wyspowo w większych lub mniejszych płatach w postaci skośnie ku północy nasadzonych „czap" na równoleżnikowo przebiegających pasmach karpackich. W górnym reglu polskich Karpat przeważają zdecydowanie stoki północne, co z kolei wiąże się ze znaczną trwałością zalegania śniegu w omawianym piętrze leśnym i uderzającym skróceniem okresu wegetacji roślinnej. W tych warunkach nie może się już rozwijać drzewostan mieszany i świerk uzyskuje bezwzględną przewagę.

Najpiękniej wykształcone świerkowe zespoły leśne regla górnego występują u nas w Tatrach, ponadto zaś w Beskidzie Wysokim na Pilsku i Babiej Górze, w Gorcach na Radziejowej i w małych fragmentach na innych obszarach Karpat. Jedynie w Tatrach oraz w Beskidzie Wysokim las górnoreglowy tworzy tzw. górną granicę lasu, powyżej której rozprzestrzeniają się łany kosodrzewiny. W Tatrach górna granica lasu jest szczególnie pięknym i interesującym zjawiskiem. W większości obszaru występują tu — oprócz świerków — luźne laski z limbą i jarzębem. Są to nierzadko skrawki pierwotnych, nietkniętych ręką ludzką zespołów leśnych, w których niejednokrotnie możemy spotkać niedźwiedzia, rysia oraz inne wyparte już prawie przez człowieka z Karpat gatunki zwierząt. Limba, której naturalne zespoły występują w Polsce tylko w Tatrach — jest drzewem ustawowo chronionym nie tylko z uwagi na swoją rzadkość, ale także i rolę, którą odgrywa w zabezpieczeniu górnej granicy lasów; zakorzenia się ona głęboko i bardzo silnie, utrwalając stoki górskie o wiele lepiej niż świerk.

Gospodarka leśna w reglu górnym zmierza przede wszystkim do utrwalenia drzewostanów. Las rozwija się tu w szczególnie trudnych warunkach siedliskowych i każdy, nawet nieduży błąd leśnika może wywołać klęskę. Świerk jako gatunek łatwo przystosowywujący się do warunków otoczenia tworzy tu naturalne biogrupy oraz szpalery. Zespolone w nich drzewa tworzą małe, odrębne jednostki drzewostanu uodporniające las przeciwko śniego- i wiatrołomom. Ochrona takich naturalnych ugrupowań świerka powinna być jednym z najważniejszych zadań leśników gospodarujących w reglu górnym. Wobec ochronnego charakteru drzewostanów górnoreglowych, zagadnienie ich użytkowania powinno być przesunięte na dalszy plan. Muszą być one zachowane ze względu na groźbę erozji stromych stoków górskich i w interesie zachowania górnego zasięgu lasów karpackich.

Leśne środowisko przyrodnicze Karpat tak z natury, jak i w wyniku ingerencji człowieka w przyrodzie ulegają obecnie daleko idącym przemianom. Śledzenie tych zmian jest ważne i potrzebne dla racjonalnej gospodarki leśnej. Skalę porównawczą dla tego rodzaju badań osiągamy jedynie przez obserwację naturalnych zespołów leśnych. Zespoły takie chronione w naszych karpackich parkach narodowych i rezerwatach przyrody w poszczególnych jednostkach terytorialnych Karpat tworzą sieć naturalnych skrawków puszczy karpackiej. Spełniają one dla nauki ważną rolę „laboratoriów terenowych" dla prac eksperymentalnych. Zadaniem władz ochrony przyrody jest mądre zaplanowanie i uzupełnienie sieci lasów chronionych w Karpatach, tak aby odtworzyć zmienność geograficzną ich szaty leśnej. Do polskiej nauki leśnictwa zaś należy właściwe wykorzystanie karpackich lasów chronionych jako wzorcowych obiektów dla racjonalnej gospodarki leśnej w tych górach.



W Tatrach górna granica lasu jest szczególnie pięknym i interesującym zjawiskiem. Fot. Zbigniew Łagocki



Zespół świerczyny w tatrzańskim reglu górnym. Tu nie rozwija się drzewostan mieszany. Fot. S. Myczkowski

Niżowy zespół dębowo-grabowy w rez. Żaki w dolinie Wisły opodal „progu karpackiego". Fot. S. Myczkowski



DZIEJE ZAMAGURZA SPISKIEGO

(DO POŁOWY XIX W.)



MARIAN GOTKIEWICZ

DOKOŃCZENIE

Polska utraciwszy za Bol. Krzywoustego obszary nad górnym Hernadem postradała następnie w początku XIV w. dystrykt podoliniecki i pozwoliła Węgrom usadowić się na prawym brzegu Dunajca i Białki. Tam, na Zamagurzu Węgrzy budują zamek w Niedzicy i Czerwony Klasztor, a następnie rozpoczynają kolonizację tej krainy polskim elementem osadniczym napływającym z Sądeczyzny i dalszych ziem Powiśla.

Jak powiedzieliśmy, Polska utraciła dystrykt podoliniecki około r. 1313. Trzeba jednak podkreślić, że biskupi krakowscy nie zrzekli się prawa jurysdykcji nad tym obszarem i procesowali się o nie z Kapitułą Spiską. W r. 1326 wyrok papieski przysądza im jurysdykcję na owym spornym — jak czytamy w wyroku — „pasie Sądeczyzny". Mimo to prepozyci spiscy aż do r. 1604 rozciągali swoją władzę nad tym obszarem.

W r. 1412 Zygmunt Luksemburski za pożyczoną od Władysława Jagiełły sumę 37.000 kóp groszy praskich oddał Polsce w zastaw dyskrykt podoliniecki z Podolińcem, Gniazdami i Lubowlą, jak również 13 miast spiskich, wydzielonych spośród autonomicznego związku 24 miast spiskich. Władysław Jagiełło mógł pożyczyć tak wysoką — jak na owe czasy — sumę pieniężną, bo dostał ją jako kontrybucję od Krzyżaków po klęsce grunwaldzkiej. Sumy tej nigdy Polsce nie zwrócono, więc i zastaw pozostawał we władaniu Rzeczypospolitej niemal aż do pierwszego rozbioru. Zastawem tym nie zostało objętych 11 miast spiskich podlegających hrabiemu spiskiemu, nie objęto nim także Zamagurza czyli tzw. Wielkiego Komitatu Spiskiego, na który składały się wsie klucza niedzickiego, majątki Czerwonego Klasztoru i różnych panów feudalnych.

Było to błędem ze strony Władysława Jagiełły, że nie zażądał w r. 1412 od Zygmunta Luksemburskiego, skompromitowanego tajnym przymierzem z Krzyżakami, oddania Polsce w zastaw także Zamagurza, będącego przecież krainą zamieszkałą przez lud polski. Odtąd kraina ta miała stanowić enklawę węgierską w państwowym organiźmie Polski przez nieprzerwany ciąg kilku stuleci. Ten sztuczny twór polityczny opierał się granicami o brzegi Białki i Dunajca i próbował nawet te brzegi przekroczyć. Taka granica państwowa poprowadzona w osi dolin górskich, tworzących naturalne arterie komunikacyjne musiała wpływać hamująco na rozwój gospodarczy tych dolin i rozluźniała więź kulturalną ludu zamagurskiego z jego polską ojczyzną. Graniczne spory o miedze, o strzępy ziemi, które Dunajec i Białka wskutek zmian koryta pozostawiały raz na lewym to znów na prawym swym brzegu, zachęta ze strony Paloczayów, Horwathów, Stansitsów i innych panów do bezprawnego wypasania hal i użytkowania gruntów przynależnych do Nowotarszczyzny bądź też do miast zastawionych Polsce — to wszystko mogło nawet przyczyniać się do wytwarzania lokalnych antagonizmów.

Na Zamagurzu istnieją dzisiaj 3 ruskie osady (łemkowskie), a mianowicie Folwark (474 mieszk.), Wielki Lipnik (909 mieszk.) i połowa Osturni liczącej 1334 mieszkańców. Najstarszą z nich jest Wielki Lipnik, gdyż założyli go Görgayowie w XIV w. Łemkowie przyszli jednak do niego, jak również do Frankowej dopiero w XV i XVI w. O ile jednak we Frankowej uległi asymilacji w zetknięciu z polskimi autochtonami, to w Lipniku zachowali swą etniczną odrębność. Na Zamagurze i Podhale sprowadziła ich fala osadnictwa wołoskiego, idąca ze wschodu. Ruskowołoscy pasterze osiedlali się obok ludności polskiej w takich wsiach zamagurskich powstałych lub już istniejących w XVI w. jak: Łapsze Wyżne, Trybsz, Jurgów. Nazwy: Czarna Góra, Osturnia, Jezierskо, Żdżar, występujące w dokumentach z lat 1589-1595 nie odnoszą się jeszcze do wsi, ale do pastwisk, terenów ornych i innych użytków. Nie było wtedy jeszcze Łapszanki ani Rzepisk, ale w r. 1655 są one podobnie jak i Czarna Góra wsiami, bo ludność stamtąd przynosi chrzcić dzieci do parafialnego kościoła w Łapszach Wyżnych. Według P. Kuruca[1] Łapsze Wyżne miały być kiedyś wsią grecko-katolicką. Prepozyt spiski Jan Zsigray, stwierdzający w r. 1700 polskość wszystkich wizytowanych przez siebie wiosek na Zamagurzu podał, że w Łapszach Wyżnych mieli niegdyś Rusini swą drewnianą cerkiew. Z metryk parafii rzymskokatolickiej wynika jednak, iż po reformacji w r. 1655 żyła tam ludność polska wyznania rzymskokatolickiego. Wieś miała więc chyba ludność mieszaną obu wyznań, za czym przemawiały także miejscowe podania, mówiące o sporach między „Rusnakami" i Polakami.

Zamkiem i kluczem niedzickim zawładnął siłą w r. 1470 spiski żupan Emeryk Zapolya, dziadek polskiej królowej Barbary. Brat tejże Barbary, Jan Zapolya, hrabia spiski i wojewoda siedmiogrodzki wybrany został w r. 1526 królem węgierskim. W walce z Ferdynandem I pretendującym do korony węgierskiej uzyskał on pomoc Turków, co zawdzięczał dyplomacji Hieronima Łaskiego zwanego Jaroszem, wojewody sieradzkiego i w nagrodę za to darował mu w r. 1528 żupanat spiski z Kieżmarkiem, Rychnawą, Gelnicą i Niedzicą. Ale zamek niedzicki musiał Hieronim Łaski zdobyć siłą, bo siedział tam Stefan Poturnicki, stronnik Ferdynanda I. Kiedy zaś później Jarosz przeszedł na stronę cesarza, zamek niedzicki znowu był oblęgany, tym razem przez Mikołaja Minkowicza. Jemu to poprzednio Jarosz zastawił Niedzicę za 6000 zł., a teraz nie chciał jej oddać jako stronnikowi Zapolyi. Minkowicz zamku nie zdobył, jego żołnierze spoczęli w dwóch wielkich mogiłach nad pobliskim potokiem, gdzie później wzniesiono dwie kaplice.

Po śmierci Hieronima Łaskiego dobra niedzickie przypadły jego synowi Olbrachtowi, znanemu w Polsce awanturnikowi. Olbracht trwoniący fortunę, sprzedał w r. 1589 cały klucz dunajecki Jerzemu Horwathowi Paloczayowi. Około r. 1601 nowy właściciel rozszerzył i upiększył zamek niedzicki. On także nadał renesansową postać kasztelowi we Frydmanie.

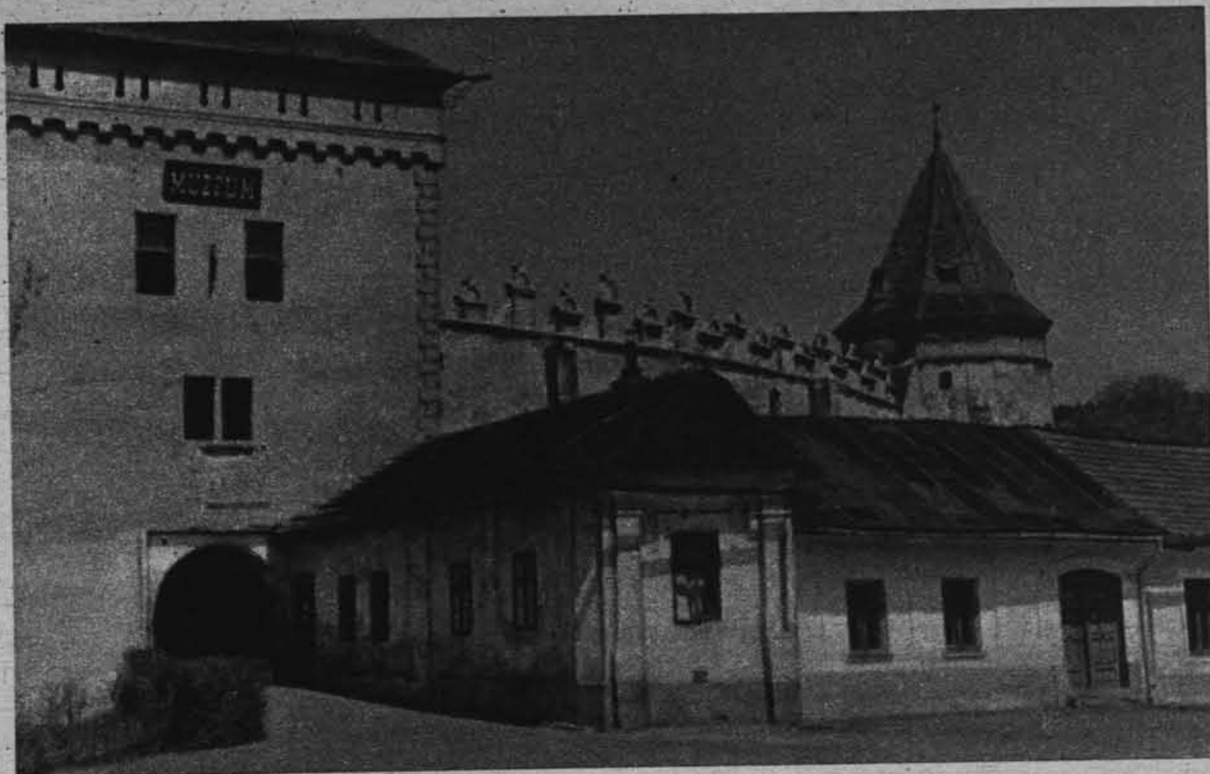
Jerzy Horwath dbał o powiększenie swych posiadłości. Najpierw kupił on w r. 1587 od Grzegorza Horwatha Stansicsa, właściciela Nowej Białej (Uj-Bela), terytorium między Białą a Leśnicą wraz z częścią Tatr w okolicy Morskiego Oka. Ale tego kontraktu nie mogła respektować strona polska, gdyż kupiony pas ziemi wówczas jeszcze był wprawdzie bezludny, jednak należał do starostwa nowotarskiego. Ówczesny starosta nowotarski Stanisław Witkowski, zagrożony dalszym wdzieraniem się Jerzego Horwatha w stronę doliny Białego Dunajca, przystąpił do zakładania wsi Jastrzębca (Suche) i Zębu, co uzasadnił następująco: „Widząc, iż w dobrach starostwa nowotarskiego, na ten czas dzierżawy mojej są pustynie niemałe, z których nie tylko pożytku nie masz, ale owszem, wrogowie przechodząc rzekę graniczną w nie się wdzierają, pozwalam urodzonemu Wiktorzynowi Zdanowskiemu i Annie Dziechtarzkiej, małżonkom, osadzić dwie wsie Zubów i Jastrzębiec"...

Na to bezprawne poszerzanie granic włości Łaskich, Paloczayów i innych spiskich magnatów kosztem terenów Polski skarżą się i Sromowce i Łopuszna, a szczególnie pozostająca w polskim zastawie Biała Spiska, o czym mówią nam materiały archiwalne Biblioteki Muzeum Czartoryskich w Krakowie: z r. 1562 pochodzi skarga mieszkańców Białej o naruszanie jej granic przez ludność Frankowej; w r. 1563 wnosi Biała skargę na panów zamku niedzickiego, że ich poddani bezprawnie użytkują pastwiska w Koperszadach tatrzańskich i w Tokarni; w r. 1569 ponownie wpływa taka skarga; w r. 1580 zachodzi znowu konieczność obrony granic przed mieszkańcami Relowa, a w r. 1618 przed Paloczayami wdzierającymi się nadal w pastwiska Koperszadów. Bronić muszą swego stanu posiadania przed zaborczością sąsiadów także Drużbaki, Podoliniec, Nowa Wieś Spiska, Spiskie Podegrodzie...

Jerzy Horwath Poloczay nie zadowalając się posiadaniem klucza niedzickiego pożycza w r. 1612 królowi Maciejowi II sumę 35000 florenów i tytułem zastawu zabiera na jakiś czas ogromne majątki zniesionego Czerwonego Klasztoru.

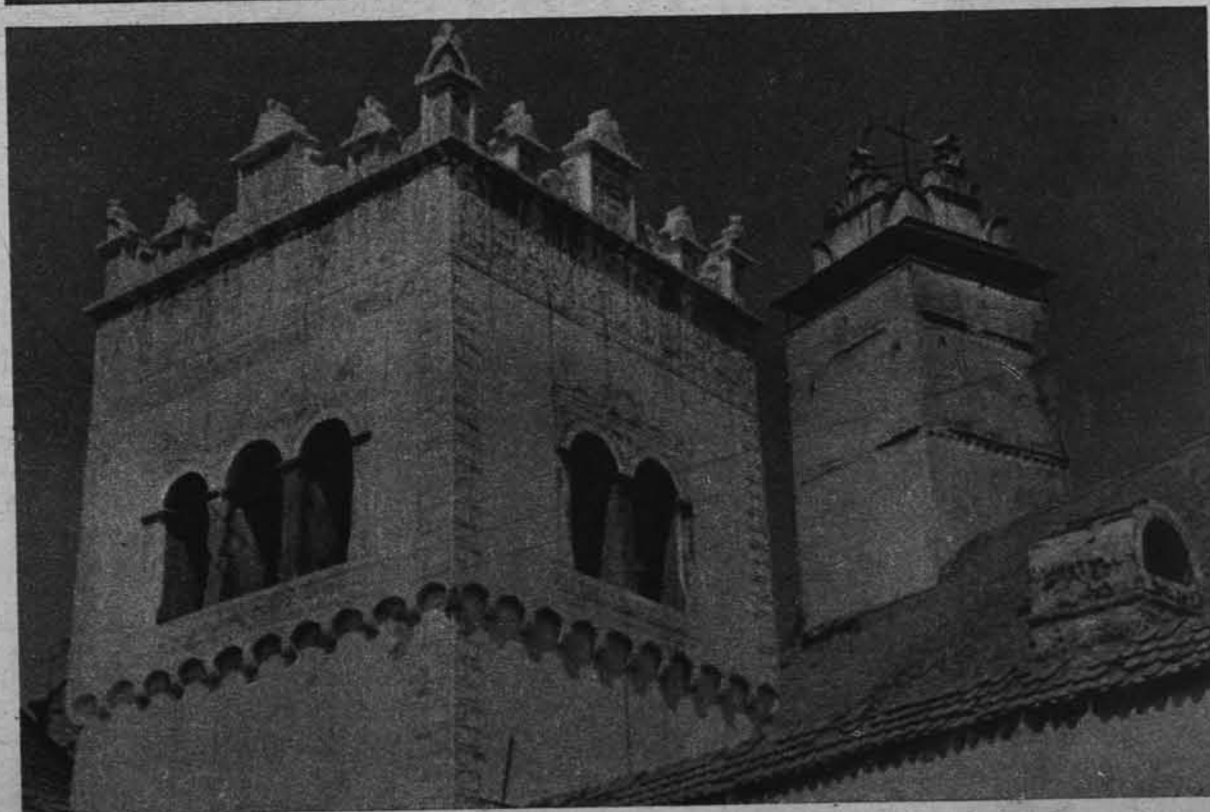
Druga połowa XVI w. to okres krytyczny dla katolicyzmu na Spiszu. Ok. roku 1550 innowierstwo zwycięża bowiem nie tylko w części węgierskiej tego kraju, ale i w 16 miastach, zastawionych Polsce gdzie ma ono możnych protektorów w osobach takich starostów lubowelskich jak Piotr Kmita, Jan Bonar, Mikołaj Maciejowski i syn jego Jan. W dolinach Hernadu, Gnilca i Popradu, miasta o ludności przeważnie niemieckiej powołują ewangelickich proboszczów, Kartuzi z Lapis Refugii muszą w r. 1543 w Czerwonym Klasztorze szukać schronienia przed bandą Podmanickiego, ale nie na długo, bo w rok później Czerwony Klasztor również pada ofiarą rabunku. W latach następnych mnisi rozpraszają się, część ich przechodzi na protestantyzm. Wreszcie w r. 1563 Ferdynand I z powodu rozluźnienia reguły i obyczajów przeprowadza kasatę klasztoru, którego dobra wkrótce przechodzą w ręce dysydenckich rodzin Magocsich, a potem Zygmunta Rakoczego, Stefana Thökölego, wreszcie dzierży je jako zastaw od roku 1612 Jerzy Horwath Paloczay.

W tych warunkach jedyną ostoją katolicyzmu na Zamagurzu stały się, prócz Lendaku Łapsze Niżne i Hanuszowce, gdzie gospodarowali Miechowici. Ale zakonnicy ci znaleźli się pod koniec XVI w. w tak trudnej sytuacji, że zmuszeni są na życzenie Jerzego Horwatha, sprzedać mu w r. 1593 swe wioski. Sprzedażą były objęte majątki prepozytury lendackiej z przynależnymi wioskami: Lendakiem, Hanuszowcami, Niżnymi Łapszami, Żdżarem i Jezierskiem. Sprzedano je za stosunkowo niewielką



Muzeum kieżmarskie znajduje się w dawnym zamku Zapolyów i Łaskich. Poniżej: gotycki ratusz w Lewoczy również mieści w swym wnętrzu muzeum regionalne. Obecny wystrój pochodzi z r. 1550. U dołu: tzw. „Złota Wieża" kościoła św. Krzyża w Kieżmarku. Wszystkie zdjęcia Janusza Bogdanowskiego.





sumę 11000 florenów polskich. W akcie sprzedaży Miechowici zastrzegli sobie jednak pozostawienie im wyłącznego zarządu parafiami w sprzedanych wsiach, a więc i to, że parafie te nie dostaną się dysydentom.

Wskutek tego innowierstwo nie zakorzeniło się na Zamagurzu tak głęboko, jak w innych częściach Górnych Węgier. Zresztą Horwathowie Paloczaye wrócili do wiary katolickiej już w r. 1639, a z tą chwilą we wszystkich wsiach, należących do klucza dunajeckiego, zwrócono katolikom kościoły. Rekatolizacja miała tu więc przebieg spokojniejszy niż np. w jedenastu miastach spiskich, podlegających władzy Habsburgów, gdzie nie było tolerancji religijnej i zdarzały się częste niepokoje związane z powstaniami różnych przywódców podnoszących broń przeciw absolutyzmowi dynastii habsburskiej.

Po reformacji wrócili na Zamagurze księża polscy, a prepozyci spiscy, nie dysponując dostateczną ilością katolickiego duchowieństwa, musieli zgodzić się z tym stanem rzeczy, mimo wyraźnego zastrzeżenia, jakie Rudolf II uczynił w dyplomie z dn. 16. I. 1606 r. nadającym prepozyturę spiską Wł. Hoszuthotemu „aby kościelne beneficja i godności nadane były krajowcom, a nie Polakom". Wbrew temu poleceniu spotykamy w XVII w. niektórych Polaków piastujących nawet godności kanoników spiskich, że wymienię tylko Joachima Łużeńskiego (1630—1638) urodzonego w Nowym Targu albo Franciszka Łapszańskiego (Lapsanszky) (1686—1687), wreszcie Jana Piotra Martynowskiego (1690—1710) rodem z Łapszów Wyżnich, zapisanego w kapitule jako „Dunaviczensis Polonus". A już proboszczami we wsiach zamagurskich z reguły byli Polacy aż do połowy, a w niektórych parafiach, do końca XVIII w. Długi ich rejestr znany mi jest dzięki ks. Józefowi Świstkowi (1956), który nie szczędził trudu, aby z ksiąg parafialnych po obu stronach granicy na Spiszu poczynić wyciągi.

Dzięki ks. Józefowi Świstkowi, sporządzającemu wyciągi ksiąg parafialnych po obu stronach granicy, znamy nazwiska ludności Niedzicy z okresu tuż po reformacji. Wiele tych nazwisk dochowało się tam po dzień dzisiejszy. Należą do nich wynotowane z metryk niedzickich z lat 1687—1708: Nida, Strączek Nowak, Tatka, Kopacka, Kuziel, Howaniec, Kaczycki, Sekuła, Skorupa, Majorczak, Bogaczyk, Pukański. W przezwiskach dochowały się: Ślemierz, Zieliński, Cępa. Z rodzin, które żyły w Niedzicy w XVII w., lecz wymarły po roku 1708 podajemy za ks. Świstkiem następujące: Sereła, Saszka, Nadzieja Noga, Farenczak i Taratka.

Pozostaje do zbadania czy istnieją jeszcze w Niedzicy lub w sąsiednich parafiach takie nazwiska wynotowane z przełomu 17 i 18 wieku z metryk niedzickich, jak: Pierchała, Gier, Bieda, Więcek, Borczak, Kopaczyk, Bryja, Anioł, Stankowicz, Sabol, Dobosz, Kiszka, Dziesiętnik, Kauczak, Mosur, Chubaty, Chryc, Galus, Mucha, Gryglik, Śmieskowic, Tuzyński, Chowańczak, Zacher, Mrugała, Kuźma, Zatłokowicz, Głuchy, Kwak, Skorupiak, Kwaskowicz, Wrzeszkowicz, Muchowicz, Goryczka, Grzybowicz, Dwornicki, Kantorzak, Sołtysik, Witwicki,





Powyżej: widok na Spisz z nad Dunajca. Fot. Marian Kornecki. Z prawej: Kieżmark — fragment zabytkowej zabudowy. Fot. Janusz Bogdanowski. U dołu: dawne piwnice winiarskie we Frydmanie na polskim Spiszu. Tu były składy importowanych win węgierskich. Fot. T. Chrzanowski. Na stronie sąsiedniej, u dołu: zamek w Lubowli wg. dziewiętnastowiecznej ryciny



Kasperkowicz, Hernecki, Kolczon, Więckowicz, Śleboda, Nogowicz, Tymko, Grzesiak, Hutniczak, Żywczak, Magoc, Wątroba, Ziętek, Gawronek, Dusza, Kiska, Tryniak, Szcześniak. Osobną grupę stanowią nazwiska związane z zajęciami: Kowal, Faber, Rzeźnik, Jochas, Pasterz, Owczarz, Textor, Molitor, Młynarz Niźni, Młynarz Wyżni, Knap, Ogrodnik, Warznik, Piwowar, Cismak, Szewczyk, Horniczok, Kościelniak. Nie trzeba być lingwistą, ażeby stwierdzić polskość ogromnej większości tych nazwisk. Pisownia ich zmienia się częściowo w XIX w., bo w Niedzicy i w innych parafiach zamagurskich siedzą już wtedy plebanowie narodowości niepolskiej. Są to najczęściej Słowacy lub posłowaczeni w szkołach spiscy górale. Wprowadzają oni do kościołów język słowacki, o czym mamy w naszej literaturze XIX w. szereg relacji.

Tak np. Ludwik Pietrusiński w t. III „Podróży... po Europie" (Warszawa 1845 r.) na str. 229 tak podaje: „To samo, co o Starej Wsi, musiałbym także powiedzieć o miłych wioskach Maciaszowcach i Hanuszowcach... Wszystko polskie, wszystko pracowite, gościnne. Wstąpiłem do otwartego kościoła. Ponieważ duchowni katoliccy Komitatu Spiskiego wychowani są wszyscy w słowaczyźnie, łacinie, a teraz i madziarszczyźnie, przeto dla dwudziestu kilku wsi polskich na Spiszu nie masz żadnego wyjątku i kazania tym polskim włościanom w Starej Wsi, Maciaszowcach, Rejowie, Frydmanie itd. Ksiądz (chociażby był rodem z tych okolic) nie mówi po polsku, ale po słowacku. W tym języku rozpoczyna modlitwę i śpiewy, które lud nabożny śpiewa dalej najlepszą polszczyzną. I resursy tutejsze to jest karczmy, polskimi radują się piosenkami."

Pierwszy głos protestu przeciw takiemu upośledzeniu polszczyzny, podpisany inicjałami J. Z. opublikowany został w dodatku tygodniowym do „Gazety Lwowskiej" (nr 3, r. 1852). Czytamy tam: „Poczucie narodowe polskie u Polaków zakarpackich jest dotąd bardzo słabe. Nic dziwnego. Długotrwałe oddzielenie ich od macierzystego szczepu i narzucenie im obcego narzecza w kościele, szkole i prawodawstwie wpłynęło na takie usposobienie. Węgierskie władze tak duchowne, jak świeckie, nie uwzględniając różnicy, jaka istnieje między nimi a Słowakami, traktują ich z pominięciem wszelkich zasad słuszności, bez namysłu, jako Słowaków. Obie posuwają, co większa, zaślepienie swoje do tego stopnia, iż usiłują narzucić idiomat (język; przyp. autora) słowacki naszym pobratymcom. Skutkiem tej zawziętości praktykuje się tutaj niesłychane zjawisko, że parafie zamieszkałe przez włościan polskich obsadzane bywają księżmi słowackimi, tudzież że do szkółek parafialnych, w pośród nich istniejących, nasyłają im nauczycieli Słowaków. Za sprawą tych obcych księży i bakałarzy musi się uczyć lud polski owych okolic języka słowackiego, zaniedbując swój własny zupełnie; musi słuchać kazań słowackich, śpiewać w kościele i modlić się po słowacku, nawet spowiadać się po słowacku... Język nasz, nie przypuszczony do zakresu publicznego, cofnął się w zacisze domowe ubogiego chłopka, nie wychylając się poza obręb poufnej pogadanki, istniejąc jedynie jako gruba, wzgardzona mowa..."

Poprzestańmy na cytatach tych 2 głosów sprzed wieku, zadawalając się stwierdzeniem, że mimo wszystko polska gwara górali zamagurskich, której pięknem zachwycał się Staszic, okazywała dużą żywotność, a nawet ekspansywność, skoro przy braku wszelkiego poparcia i opieki ze strony czynników państwowych potrafiła jeszcze rozszerzać się wśród Łemków, a także wśród Niemców sprowadzo-

nych przez Józefa II z Würtembergii nad brzegi Dunajca. Ale ta niemiecka wysepka powstała w latach 1786—1787, złożona z 23 rodzin szwabskich w Niżnych i Wyżnych Szwabach i 28 rodzin osiadłych w Lechnicy, nie zdołała etnicznie zmienić polskiego charakteru Zamagurza.



Zgodnie z zakreślonym planem tak w ogólnym zresztą zarysie przedstawia się historia Zamagurza Spiskiego, krainy do tego stopnia związanej z regionem podhalańskim, że ją L. Zejszner nazywał Spiskim Podhalem.

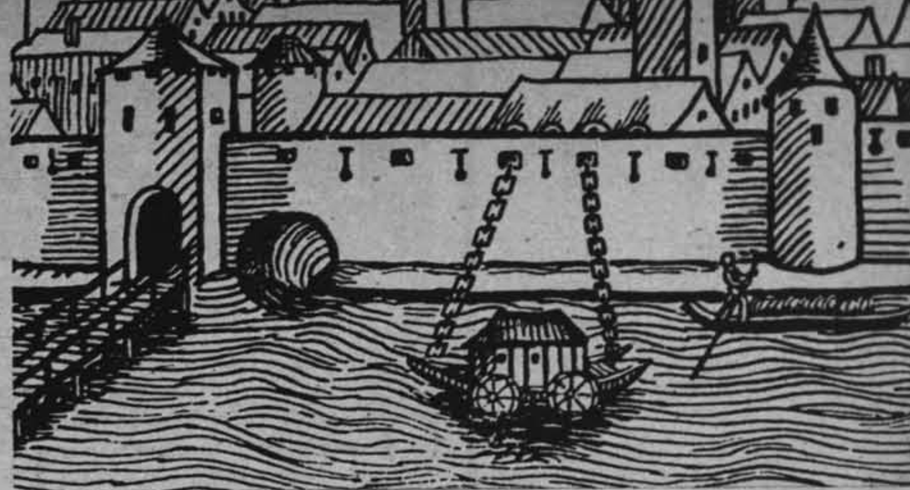
1) Praca P. Kuruca poświęcona budownictwu Łapsz Wyżnich zamieszczona w t. III (1942) zesz. 1—2 „Narodopisnego Sbornika".

LITERATURA PRZEDMIOTU:

Ludwik Pietrusiński: Podróże, przejażdżki i przechadzki po Europie T. I—IV W-wa 1845.
J. Z.: O osadach polskich na Węgrzech. Dodatek Tygodniowy „Gazety Lwowskiej" 1851, nr 41, 1852 nr 3.
Szczęsny Morawski: Sądecczyzna t. I. 1865 T. II.
Władysław Anczyc: Czerwony Klasztor w Pieninach „Kalendarz Ungra" 64, 18.
Ks. Stanisław Załęski: Czerwony Klasztor w Pieninach. Kraków 1880.
Bronisław Gustawicz: Z wycieczki w Czorsztyńskie. W-wa 1881.
J. Hradszky: Supplementum analectorum terrae scepusiensis. 1889.
J. Hradszky: Additamenta ad initia progressus ac praesens status Capituli Scepusiensis. Szepesvaralia. 1903—4.
Oswald Balzer: O Morskie Oko. „Przewodnik Naukowy i Literacki". R. XXXII. Lwów 1904.
Stanisław Zachorowski: Węgierskie i polskie osadnictwo Spiżu do połowy XIV w. A. U. Kraków 1909.
Edmund Kołodziejczyk: Polacy na Górnych Węgrzech. „Świat Słowiański" 1910, t. II.
Roman Zawiliński: Z kresów polszczyzny. Kraków 1912.
Władysław Semkowicz: Granica polsko-węgierska w oświetleniu historycznym. „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego" za lata 1919—1920.
Mieczysław Orłowicz: Ilustrowany Przewodnik po Spiszu, Orawie, Liptowie i Czadeckiem. W-wa 1921.
Karola Potkańskiego pisma pośmiertne. T. I. Wyd. A. U. Kraków 1922.
Teofil Modelski: Na marginesie sporu o Jaworzynę. „Wierchy" t. II, 1924.
Teofil Modelski: Spory o południowe granice diecezji krakowskiej od strony Spisza. Zakopane 1928.
Jan Vencko: Dejiny Štiavnického opactva na Spiši. Ružomberok 1917.
Kazimierz Dobrowolski: Migracje wołoskie na ziemiach polskich. Lwów 1930.
Zofia Pacewiczowa: Osadnictwo wołoskie i wędrówki w Tatrach i na Podtatrzu. P. A. U. Kraków 1931.
Zdzisław Stieber: Skład etniczny Słowacji, „Sprawy Narodowościowe" R. IX nr 6 W-wa 1937.
Mieczysław Małecki: Język polski na południe od Karpat. Kraków 1938.
Edward Pavlik: Sprievodca Spišskou Magurou. Bratislava 1955.
Jan Wiktor: Pieniny i Ziemia Sądecka. Kraków 1956.
H. Pieńkowska — T. Staich: Drogami Skalnej Ziemi. Kraków 1956.







O BŹDZIELU

W numerze 6. „Ziemi" M. Kornecki wspomniał o pływających młynach, tak zwanych młynach łodźnych (według Lindego „łodźny" = „łodziany", od wyrazu „łódź"), używanych w Polsce niemal do ostatniej wojny. Holowano na dogodne miejsce i odpowiednio umocowane pracowały wykorzystując prąd rzeki; na większych rzekach były istną plagą dla żeglugi.

O młynach takich wspomina Sebastian Fabian Klonowic w swym „Flisie" (I wyd. 1595 r.), utworze, który jest i swego rodzaju przewodnikiem krajoznawczym, i powieścią reportażową i podręcznikiem fachowym dla flisów, zawierającym także słownik terminologii flisackiej. Na przykład Klonowic poucza ówczesnych żeglarzy wiślanych, że

> Ścieżkę flisowską [muszą] zwać [trelem,
> A młyn pobrzeżny na Wiśle [...] [bździelem,

mgłę — mamką, dawne łożysko rzeki — wiśliskiem, krzywy nurt rzeki — wartem, itd. I poucza jednocześnie, jak się flis powinien zachowywać na rzece, szczególnie w wypadku napotkania jakiejś przeszkody. Ostrzega więc i przed bździelem:

> Nowy sterniku, wara tego [bździela,
> Roztrąciszli go, będzie kroto- [chwila;
> Musisz trzy kopy do młynarza [stracić,
> Młyn mu zapłacić.
>
> Nie bądźże głuchy, niechaj pró- [żnych wieści
> A pilnie słuchaj, gdzie woda [szeleści
> Wszak masz gdzie minąć, szy- [rokieć pogródki,
> Chociaż młyn krótki.
>
> Wszytka młynica zawisła na [kołku,
> Jeśli ją urwiesz, szalony pa- [chołku,
> Powieziesz z sobą z niemałym [gomonem
> Młynarza z domem.

A więc Klonowic radzi sternikowi wystrzegać się zderzenia z bździelem, bo jeśli go rozbije swoim statkiem, będzie awantura (krotochwila, czyli uciecha, jak z żartobliwą ironią Klonowic nazywa właśnie awanturę) i zapłaci młynarzowi 3 kopy groszy. Aby tego uniknąć, sternik podczas pracy musi zaniechać plotek, pogawędek („próżnych wieści") z towarzyszami i pilnie nadsłuchiwać, aby wcześnie usłyszeć szum wody na kole młyńskim bździela. Na mijanie jest dużo miejsca: Wisła przecież szeroka („pogródka" to rynna, którą woda płynie na koło młyńskie; tu: cała szerokość Wisły, bo młyn pływał na rzece). W końcu poeta wskazuje, że los młynicy, to jest budynku młyna (umieszczonego na pontonie), zależy tylko od drąga, belki, którą jest on przymocowany do brzegu. Jeśli nie uważny sternik bełkę tę urwie, „powiezie" młyn ze sobą. Oczywiście gomon, a więc wrzask poszkodowanego młynarza, będzie wówczas niemały.

Młyny takie znane były także na innych rzekach i to już w starożytności, między innymi używali ich Rzymianie. Jak wynika z wiadomości, zawdzięczanych Prokopowi, żyjącemu na dworze bizantyjskim — młyny pływające miały być „wynalezione" jakoby w r. 543 w czasie oblężenia Rzymu przez Gotów, którzy unieruchomili młyny miejskie, odciąwszy akwedukty. Z konieczności zbudowano wówczas młyny na łodziach, które zakotwiczono na Tybrze.

W Europie wzmianki o młynach pływających sięgają IX wieku, za najstarszą zaś ikonografię takich obiektów uznać należałoby niektóre widoki miast z kroniki Hartmana Schedela z r. 1493. Jeszcze w połowie XVIII wieku widział je Paryż: pływały wzdłuż Sekwany.

Jeśli chodzi o młyny pływające po Wiśle, to przedstawił je Canaletto na swym wielkim „Widoku ogólnym Warszawy od strony Pragi", malowanym w roku 1770. Młyny te na obrazie umieszczone są przy brzegu praskim, mniej więcej w połowie jego długości objętej malowidłem.

Fotografię młyna pływającego na Dniestrze, pod Zaleszczykami, dał Brückner w swej „Encyklopedii staropolskiej" (1939 r.), w haśle „Młyny" (jest to zwykła tratwa, a na niej sklecona buda; z boku wielkie koło młyńskie).

Znamy jeszcze fotografię pływających młynów na Dunajcu pod Tarnowem, reprodukowaną w „Ziemi" Nr 13 z 1928 r. Niestety, interesujące to zdjęcie nie nadaje się do ponownej reprodukcji w naszym piśmie ze względów technicznych. Gdyby ktoś z Czytelników rozporządzał widokiem lub fotografią pływających młynów, zamieścilibyśmy je w jednym z następnych numerów.

ZYGMUNT BROCKI

MŁYN NAPOLEONA ORDY





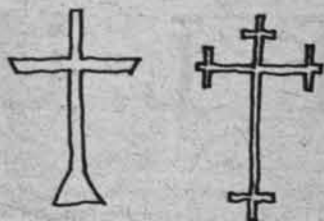
Młyn w Bolesławcu wg ryciny Napoleona Ordy z połowy XIX wieku. Zdjęcie tego samego młyna wykonał w r. 1954 Tadeusz Chrzanowski.

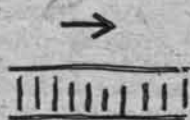
Wysoki dach mansardowy kryty gontem, ściany z grubych belek na kamiennym podmurowaniu, wysunięta nad wodą część budynku wsparta na potężnych słupach, a na horyzoncie wieża gotyckiego zamku. Całość składa się na nastrojowy, jedyny w swoim rodzaju widok.

To młyn w Bolesławcu (pow. wieruszowski) położony malowniczo wśród rozlewisk Prosny. Budynek ma pochodzić jeszcze z XVI lub XVII wieku, choć wiele jego cech wskazuje na znacznie późniejszy okres. Młyn czynny jest do chwili obecnej a z dawnego prymitywnego mechanizmu drewnianego zachowały się fragmenty. Budowla wraz z typowym dla terenów nizinnych założeniem wodnym jest nie tylko cennym zabytkiem, ale i malowniczym uzupełnieniem krajobrazu. Nic dziwnego że zrobiła na nas duże wrażenie. I nie tylko na nas, bo oto przeglądając albumy Napoleona Ordy, znanego rysownika z połowy XIX stulecia, natrafiłem przypadkowo na rycinę z Bolesławca. Widniał na niej bolesławiecki młyn. Co więcej okazało się że rysownik sprzed 100 lat wykonał swój rysunek z tego samego miejsca z którego my fotografowaliśmy ten uroczy zabytek. Wieża zamkowa była w owych czasach wyższa, sam młyn zaś posiadał boczną przybudówkę i dach kryty strzechą. Poza tym jednak właściwie nic się nie zmieniło.

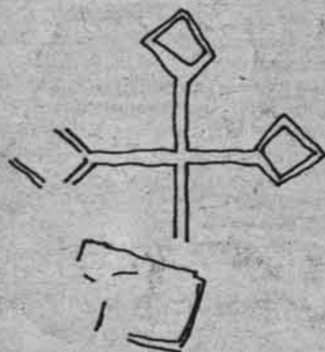
Młyn w Bolesławcu jest chyba jedynym zabytkiem tego rodzaju, posiadającym swą dawną ikonografię. (S.)

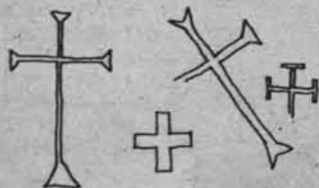


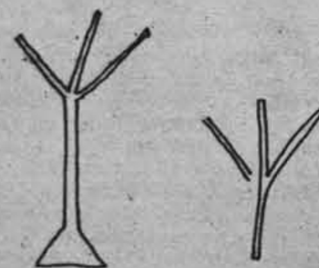












TAJEMNICZE ŚLADY

KONSTANTY STECKI

Od wieków człowiek wdzierał się coraz głębiej w górskie pustacie. Pod siekierą osadnika padała podtatrzańska puszcza. Ginęli pierwotni gospodarze tych terenów — niedźwiedź i ryś. Wytrzebiono prawie doszczętnie sarny i jelenie. Niedobitki zwierząt skryły się w niedostępne górskie zakamarki.

Ale człowiek w poszukiwaniu coraz to nowych bogactw, nie tylko przywłaszczał to, co znajdowało się na powierzchni ziemi. Sprowadzeni z nizin górnicy poczęli mozolnie wkopywać się do wnętrza skał, wydzierając Tatrom ukryte skarby w postaci rudy miedzi, żelaza i srebra. Ślady działalności ludzkiej spotykamy w Tatrach wszędzie. Od zardzewiałego żelaznego haka wbitego niegdyś w szczelinę zbocza poprzez hałdy sztolni górniczych i zwalone przyciesia starych szałasów, aż do znaków rytych przez zbójników czy też poszukiwaczy skarbów. Lecz góry starają się skrzętnie zacierać te ślady. Na zmurszałych belkach rozrzuconego przez wiatr lub lawinę szałasu bujnie pleni się roślinność. Hawiarskie drogi zasypują piargi i porasta czarny smrekowy las. Wężowe skręty kosodrzewiny oplatają kości zaginionych ludzi. Czasami wiosenne wody zwleką w dolinę wraz z żwirem jakiś żałosny szczątek poszukiwacza przygód czy fortuny.

Trudno nieraz stwierdzić, kto penetrował tatrzańskie pustacie. Śledząc pozostałości ludzkich poczynań, stajemy nieraz wobec nierozwiązalnych zagadek. Czasem jakiś pożółkły dokument, przechowywany w archiwach muzeów lub starych rupieciach miejskich ratuszy potrafi nam je wyjaśnić. Czasem snujemy tylko przypuszczenia. Wielekroć obserwujemy daremne wysiłki człowieka, wysiłki podejmowane w imię wierzeń w czary i gusła.

Któż zgadnie, ile czasu i energii pochłonęły poszukiwania skarbów. Dziś opisy takie znajdujemy tylko w starodrukach, dawnych opisach podróżniczych i przekazywanych ustnie podaniach, ale nie zapominajmy, że niegdyś zupełnie poważnie wierzono w istnienie bogactw zaklętych przez duchy gór. Badając wnętrza jaskiń napotykamy na szczątki dawnych robót. Kto i dla jakich celów budował w podziemnym przepływie górskiego potoku belkowaną podłogę? Kto zawlókł tam dwa czółna, jedno zatopione i zmurszałe, a drugie o dziwo, całkiem jeszcze nowe? Kto kuł krzyże i symbole Chrystusa w postaci liter I. H. S. na gładkiej ścianie turni, opodal wylotu jednej z jaskiń w dolinie Kościeliskiej?

Stare zapiski i pamiętniki wyjaśniają po części całą sprawę. Chodziło tu nie tyle może o złoto ukryte przez zbójników, ile o skarby zgromadzone i strzeżone przez „duchy ziemne". Istniały nawet dokładne opisy zaklęć, przy pomocy których można było owe skarby posiąść. Opisy te, tak zwane „spiski" były przekazywane z pokolenia w pokolenie i pilnie przez ich posiadacza strzeżone i ukrywane. Zresztą przeglądając je trzeba przyznać, że pod względem geograficznym stanowiły całkiem dorzeczne opisy dróg, wiodących w głąb Tatr. Odrzuciwszy zawarty w nich balast spraw nadprzyrodzonych, można traktować je jako pierwsze przewodniki po Tatrach, pisane ze znajomością terenu.

Ile pracy, trudu i nadziei musiał wkładać poszukiwacz skarbów w swe wyprawy, by wreszcie stwierdzić, że zaklęcia nie skutkują i że „duchy gór" nie chcą im być posłuszne.

Nieco później, jakieś sto czy stopięćdziesiąt lat temu, pojawili się poszukiwacze skarbów, ukrytych przez zbójników. Ci opierali się na bardziej słusznych przesłankach, lecz i oni używali przeróżnych zaklęć, by odnaleźć zagrzebane gdzieś w uboczy kotliki dukatów. I oni przemierzali Tatry wzdłuż i wszerz w pogoni za złotem, pozostawiając po sobie ślady. Ile razy geolog, a jeszcze częściej speleolog napotyka stare wykopy, w miejscach o których głosi legenda, że były schronieniem zbójników. Niewątpliwie jedną z najciekawszych tego rodzaju pozostałości są znaki kute na skalnych ścianach.

Znamy doskonale napisy „zdobiące" turnie i drzewa tatrzańskich ustroni. Napisy te w rodzaju „Jadzia i Henio z Wołomina 1956" nie dziwią dzisiaj nikogo, gdyż od lat całych przyzwyczailiśmy się do ludzkiej głupoty i snobizmu. Ale są i inne znaki, kute zazwyczaj w niedostępnych i mało znanych miejscach. Nie ryli ich pasterze, drwale czy myśliwi, gdyż nie znali oni ani spotykanej w tych znakach symboliki, ani prawdopodobnie cyfr.

Najstarsze takie znaleziska odkryto w Zbójnickiej Dolince. Data wyryta tam na skale wskazuje, że już w r. 1531 zwiedzali ten zakątek poszukiwacze skarbów, czy też górnicy. Niedaleko od tego miejsca z żlebie spadającym stromymi progami w okolicę Bramy Kraszewskiego znajdują się nowsze już znaki i podpisy ostatnich zbójników tatrzańskich z r. 1804 i 1863.

Bardzo ciekawe symbole były ryte na ścianach wąwozu Kraków. Niestety zostały one prawie zupełnie zniszczone przez współczesnych nam wycieczkowiczów, którzy także pozostawili ślady swej bytności w Tatrach, w postaci mniej lub więcej niemądrych napisów. Ciekawe znaki znajdują się w okolicy otworu jaskini Poszukiwaczy Skarbów. Jest tam między innymi wyryty jako data rok 1663.

W samej dolinie Kościeliskiej niedaleko jaskini Wodnej Pod Pisaną, na skale znajduje się rysunek poszukiwacza skarbów czy też górnika.

Treść rytych na ścianach symboli można podzielić na parę grup.

Najczęściej spotykamy krzyże przeróżnych rodzajów — od najprostszych, aż do ośmioramiennych z typową pod-

Na zdjęciu: fragment skały z wyrytymi na niej znakami. Fotografował K. Stecki.



Z lewej: znaki wyryte na skałach tatrzańskich, wg rysunków z natury Konstantego Steckiego.

stawą w kształcie trójkąta. Czasem przypominają one kształtem symbol różdżki czarodziejskiej. Dosyć pospolite są napisy, podpisy i daty, jak naprzykład obiecujący napis nad Bramą Kraszewskiego „Sukaj a najdzies", lub znajdujące się tam podpisy tatrzańskich zbójników Tylki, Staszla i Kubińca. Do innej kategorii należy zaliczyć ryte niewątpliwie przez górników lub poszukiwaczy skarbów symbole metali szlachetnych jak złoto, miedź i srebro. Najrzadziej znajduje się rysunki drabinek, strzał i postaci ludzkich.

Opisane powyżej znaki były już od wielu lat znane. Lecz ostatnio odkryto dwa bardzo ciekawe skupiska takich znaków — jedno w północnym stoku Sarniej Skałki, w żlebie będącym przedłużeniem doliny Ku Dziurze, drugie po północnej stronie szczytowej turni Kończystej nad doliną Kościeliską.

Nowe znaleziska różnią się zasadniczo od opisanych poprzednio, zarówno odmienną symboliką, jak i obfitością znaków. Zarówno w jednym jak i w drugim miejscu spotykamy około kilkudziesięciu rytych głęboko w wapiennej skale rysunków. Przewagę stanowią krzyże o bardzo zróżnicowanych formach oraz niespotykane gdzieindziej symbole swastyki, słońca i krzyża, który przypomina kształtem liść koniczyny czy też znak trefla.

Nie udało się ustalić bliżej czasu ich powstania. Jedyna znajdująca się tam data jest zatarta i nieczytelna. Jednak niewątpliwie dwie pierwsze cyfry to 1 i 6, czyli wyryto owe znaki w siedemnastym stuleciu.

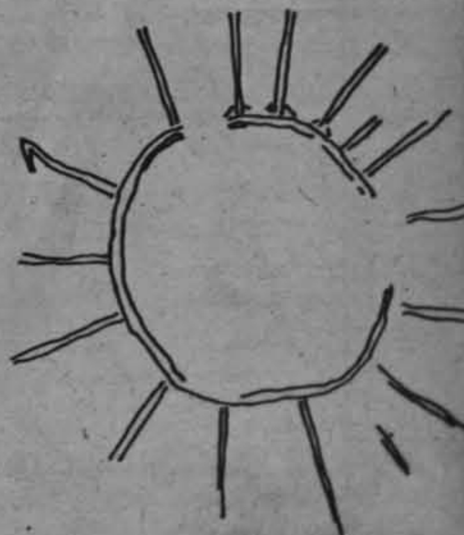
Ciągle jednak pozostaje zagadką, kto i w jakim celu wyrył tak wiele różnych znaków? Na jednej ze ścianek w stokach Sarniej Skałki widnieje na powierzchni 3 m² ponad czterdzieści krzyży i symboli. Próbowano obliczyć, w jakim czasie możnaby wykonać podobne znaki. Okazało się, że na wyrycie ich trzeba było zużyć 42 godziny, czyli ponad pięć ośmiogodzinnych dni pracy. Któż miał na to czas i ochotę? Przypuszczenia czyniono różne. Znając mniej więcej stosunki panujące pod Tatrami około 1650 r. sądzić można, że miejsce gdzie znajdują się owe znaki, było może punktem zbornym poszukiwaczy skarbów lub górników, zwłaszcza, że oba znaleziska znajdują się w miejscach ustronnych, zasłoniętych przed wiatrem i nadających się na budowę prowizorycznych schronów. Możliwym jest, że były tam zbudowane koleby, w których przechowywano narzędzia i zapasy. Za tą teorią zdaje się przemawiać symbolika znaków, używana w tych czasach przez górników, a z pewnością także znana poszukiwaczom skarbów.

Prawdopodobnie ruszający na poszukiwania ukrytych skarbów wykuwali w skale magiczne symbole i krzyże dla przebłagania lub odegnania nadprzyrodzonych potęg, broniących przystępu do owych bogactw. A może były to jakieś umowne znaki zbierających się tu i spiskujących przeciwko starościńskiej władzy poddanych?

Pewnego powodu kucia tych znaków nie znamy i słusznym by było aby owymi znaleziskami zainteresowali się specjaliści historycy, którzy spróbowaliby rozwiązać zagadkę, dorzucając jeszcze jeden przyczynek do historii pobytu człowieka w górach.

Powyżej: korytarz jaskini tatrzańskiej. Fot. Z. Małek. Nawet w głębi trudno dostępnych jaskiń znajdowano nieraz tajemnicze, niezrozumiałe znaki. U dołu: rysunki skalne sprzed 1000—1500 lat w Parku Narodowym w stanie Utah (USA). Rysunek z prawej przedstawia jeden ze znaków tatrzańskich.





KOŚCIELNI STRAŻNICY

W Nr 1 „Ziemi" z r. 1956 i w Nr 6 z r. 1957 zamieszczono notatki o rzadkich wykładkach figuralnych, czyli metalowych ochronach zamka zachowanych w Polsce — jak podano — jedynie w Koniecpolu i Łowiczu. Otóż z wykładkami figuralnymi spotkałem się na Śląsku we wsiach Zimna Wódka i Klucz (pow. Strzelce Opolskie).

Pomiędzy Kędzierzynem a Strzelcami Opolskimi w pięknej, pagórkowatej okolicy rozsiadły się trzy wioski odlegle od siebie o parę kilometrów. Są to Olszowa, Klucz i Zimna Wódka. Posiadają one malownicze drewniane kościółki pochodzące z około XVIII w. a zbudowane prawdopodobnie przez tego samego cieślę, gdyż cechuje je podobna forma architektoniczna wieży i nawy przykrytej wspólnym dachem. Najpiękniej położone są kościółki w Kluczu i Zimnej Wódce, stojące na niewysokich wzgórzach w otoczeniu starodrzewu. Oba posiadają też na drzwiach kruchty ciekawe wykładki figuralne, które w odróżnieniu od wspomnianych wykładek z Koniecpola i Łowicza o tematyce nieco frywolnej, przedstawiają strażnika w ówczesnym osiemnastowiecznym umundurowaniu, stojącego jakby na straży mienia kościelnego. Wykładki te wykonane prymitywnie z blachy, nacinane ostrym narzędziem i trybowane w szczegółach, przybite są do drzwi ćwiekami.

Wymienione wykładki — jak sądzę — nie stanowią unikatów na ziemi śląskiej i gdzieindziej niedostrzeżone uchodzą ludzkiej uwadze. Dlatego zachęcam turystów, aby przy zwiedzaniu obiektów zabytkowych zwracali pilniejszą uwagę również na stare okucia drzwi a o odkryciu napotkanej wykładki figuralnej zawiadamiali czasopismo „Ziemia". Przyczynią się oni w ten sposób do wzbogacenia naszej wiedzy o dawnym polskim rzemiośle.

Stanisław Mękicki



Metalowa wykładka z drzwi kościoła we wsi Zimna Wódka, powiat Strzelce Opolskie. Rys. St. Mękicki.



Wykładka z drzwi kościoła we wsi Klucz, powiat Strzelce Opolskie. Rys. St. Mękicki.



Zb. Łagocki

WSZYSCY chyba co doświadczeńsi turyści krakowscy znają mistrza Józefa Trutkowskiego. Doskonałe plecaki jego pomysłu i produkcji można zobaczyć na wszystkich szlakach krajowych, a niektóre zawędrowały na plecach swych właścicieli w Alpy, na Spitsbergen, do Bułgarii, w Pireneje... W małym warsztacie przy ulicy Zwierzynieckiej spotykają się narciarze i kajakowcy, taternicy i grotołazi przynosząc kaleki sprzęt do naprawy. Druga specjalność pana Józefa to atletyka. W podnoszeniu ciężarów zdobył nawet mistrzostwo krajowe w jednej z wag. To wszystko nie przeszkadza mu parać się delikatną dyscypliną kunsztu poetyckiego.

Nie oceniajmy tej poezji — nie o to chodzi. Zestawmy tylko fakty: rzemieślnik, siłacz, poeta, którego stać i na łzę wzruszenia i chciałby czar Bieszczad przenieść (dosłownie) do miasta. Podobno pisze wierszem pamiętnik swego życia.

POŻEGNANIE BIESZCZAD

Ranek zwiastował pogodę bez chmurki —
To skwarny dzionek zaczynał się znowu.
Wzrokiem pieściłem doliny i górki,
W zadumiem usiadł nad brzegiem parowu,

Gdzie łopuch liście ponad głowę wznosi.
Ścieżki zarosły olszyną i krzewem
Wśród traw przebujnych, których nikt nie kosi.
A drogi wichry zawaliły drzewem.

Dawno człowieka nie było w tej stronie
Każdy zakątek dzikością osnuty
Niekiedy zimno przechodzi przez skronie
Patrząc na zgliszcza i sadów kikuty.

San, co zwykł szumieć między porohami,
Leniwie płynął mijając kamyki.
Potok się sączył wśród skał wykrotami,
W górach powoli konały strumyki.

Słońce jak piechur obchodziło szczyty,
Na połoninach okrakiem przysiadło.
Żarem rzucało na świat mchem pokryty,
To znowu w przełęcz chowając się bladło.

Długo już deszczu nie było w tej stronie,
Ziemia spękana, spragniona wilgoci.
Śladu znajść trudno po dzikiej zwierzynie
Zato żmij mnóstwo wśród traw i paproci.

Gdybym te wszystkie bezdroża i jary
Połonin szczyty mógł ująć w swe ręce,
Ten czar co drzemie w Bieszczadach ukryty
Wlókł bym do miasta — szczęśliwy, choć w męce.

Na koniec z żalem patrzyłem dokoła
Kapelusz zmięty na głowę nacisnął
Czołem Bieszczady — półgłosem zawołał
I łzę rozstania na dłoniem wycisnął.

Józef Trutkowski

W. Plewiński



KRAJOZNAWSTWO REGIONALNE

STANISŁAW BEREZOWSKI

Prof. Dr. Stanisław Berezowski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego i redaktor naczelny magazynu geograficznego „Poznaj Świat", w odpowiedzi na apel ZIEMI ogłoszony w numerze 5/57 zabiera głos w dyskusji nad nowoczesnym ruchem krajoznawczym w Polsce.

Kiedyś w roku 1954 przy pięknej pogodzie odpoczywałem na Trzydniowiańskim Wierchu patrząc na wędrujące obłoki i na zębatą linię szczytów Tatr Zachodnich. Gwar rozmów skierował moją uwagę w przeciwną stronę i gdy odwróciłem się, zauważyłem grupkę chłopców w wieku szkolnym pod przewodnictwem starszego pana, który zaczął im po chwili objaśniać widok, piękny widok, jaki roztacza się z tego Wierchu. Usłyszałem nazwy okolicznych szczytów i przełęczy. Chłopcy interesowali się oglądaną panoramą i paru pytaniami powodowali uzupełnienia; dodatkowe nazwy wierchów oraz mniej lub więcej dokładnie podawane ich wysokości nad poziomem morza. Wszystko to dotyczyło tylko topografii. Grupa wycieczkowa rozglądała się jeszcze przez chwilę dokoła, a potem powędrowała grzbietem północnym, zapewne spowrotem do schroniska.

Owa przypadkiem spotkana i mimo woli podsłuchana grupa wycieczkowa sprawiła, że jaśniej uświadomiłem sobie, z jakim bagażem zainteresowań polscy turyści i krajoznawcy wyruszają na wycieczki. Młodzi chłopcy na Trzydniowiańskim Wierchu i ich starszy przewodnik byli grupą wycieczkową dość dobrze ustawioną, grupą, która niewątpliwie interesowała się terenem swojej wędrówki, oczywiście dzięki przewodnikowi.

Jednak jego stosunek do gór i wiedza o Tatrach ograniczała się tylko do topografii. Oprowadzanym chłopcom nie powiedział nic o ciekawych faktach budowy geologicznej Tatr Zachodnich, nic o strefach roślinnych czy pochodzeniu rzeźby dolin i kształtów grzbietów. A przecież tu właśnie z Trzydniowiańskiego Wierchu można było nie tylko o tym powiedzieć, ale i pokazać szereg bardzo ciekawych zjawisk, które także walnie rozszerzyłyby wiedzę krajoznawczą o Tatrach u chłopców powierzonych jego opiece.

Ileż jest jednak w Polsce turystów, a nawet krajoznawców, którzy nie mają nawet tego „topograficznego" stosunku do zwiedzanych przez się obszarów. Po wojnie turystyka objęła szeroki zasięg ludzi z różnych grup społecznych. Wszelako pogłębienie krajoznawstwa jako wiedzy o kraju, o zwiedzanych jego regionach, jest jeszcze bardzo nikłe. Prawie żadne. Mamy co prawda o wiele więcej niż przed wojną wydawnictw typu zwięzłych monografii krajoznawczych. Mamy drukowane przewodniczki dla tras wczasów wędrownych; oby tylko poziom ich był coraz lepszy. Osiągnęliśmy niewątpliwie wyższy poziom czołówki aktywu naszych przewodników. Jednak osiągnięcia nasze są w tym zakresie jeszcze małe i ogólna masa turystów wędruje nadal w najlepszym razie z „topograficznym" nastawieniem krajoznawczym, albo też z nastawieniem jakiegoś wyłącznie sportowego wyżycia się. Takie np. nocne marsze i raidy turystyczno-krajoznawcze nic nie dają. Wydaje się, że powinniśmy zawsze stosować zasadę: „nie ma turystyki bez krajoznawstwa ani krajoznawstwa bez turystyki".

Musimy jednak zdawać sobie dobrze sprawę nie tylko z tego, co to jest krajoznawstwo, ale i w jakim kierunku należy go rozwijać. Dlatego też uważam za bardzo słuszne rzucenie hasła do dyskusji nad tymi problemami przez najbardziej do tego w Polsce powołane czasopisma: przez „Ziemię" w maju br. oraz przez „Turystę" w dwa miesiące później.

Odpowiadając na apel zabrania głosu w dyskusji nie będę oczywiście powtarzał tego, co w niej już powiedziane zostało. Stwierdzę jedynie, że potrzeby ustalenia kierunków rozwoju krajoznawstwa oraz dawne poglądy na to, czym ono jest, nie wiele straciły na aktualności, chociaż odnoszą się one do odmiennych etapów historii i różnych faz rozwoju ruchu krajoznawczego.

Przed pół wiekiem dla pierwszych, *jeszcze nielicznych grup* krajoznawców potrzebne było hasło rozszerzenia ich wiedzy z zakresu dziedzin humanistycznych na przyrodniczo-społeczne. Obecnie dla *lepiej ustawionych grup spośród szerokich mas turystów* formułuje się hasło zmiany „topograficznego" podejścia do krajoznawstwa i przejście na pogłębienie wiedzy krajoznawczej i rozszerzenie jej na zagadnienie życia kulturalnego, społecznego i gospodarczego rejonów naszego kraju.

W okresie międzywojennym — nie tylko zresztą w Polsce — rozwinął się tak zwany „ruch regionalistyczny". Miał on wiele cech wspólnych z krajoznawczym; szedł w kierunku pogłębienia możliwie wszechstronnej wiedzy o własnym regionie *). Wydaje mi się, że dyskutując nad właściwym programem krajoznawstwa musimy nawiązywać do ruchu regionalistycznego i wyciągać dla nas wnioski z jego programu i doświadczeń.

Trzeba też dokonać rewizji naszego stosunku do tego ruchu. Po wojnie wyrażany był w Polsce pogląd, że „ruch regionalistyczny był co prawda zdrowym prądem mającym na celu ratowanie kultury burżuazyjnej przed jej postępującym nieuchronnym rozkładem, przed upadkiem kultury i gospodarki poszczególnych regionów, które na skutek nierównomierności zagospodarowania tychże krajów były skazane na upadek. Jednak w społeczeństwie socjalistycznym — mówiono przed paroma laty — władza ludowa w ramach nowego systemu społecznego zapewnia rozwój kulturalny i gospodarczy całego kraju i wszystkich jego dzielnic, przeto niepotrzebny jest żaden osobny ruch regionalistyczny".

Była to jednak tak zwana „drętwa mowa". Na szczęście okres ten należy do przeszłości.

Życie i rozwój kulturalny grup społeczeństwa może rozwijać się należycie tylko w odpowiednio ustawionych i zorganizowanych formach regionalnych. Formy te umożliwiają nie tylko utrzymywanie zwyczajów i dobrych, często postępowych, tradycji miejscowych, ale sprzyjają w dużym stopniu kontynuacji i rozwijaniu kultury ogólnonarodowej. Przecież wiele jej dziedzin rodzi się w poszczególnych regionach kraju. Kraj bez życia regionalnego musi chorować na hipertrofię centralizmu i być zżeranym przez raka biurokracji. Ożywienie życia regionów może być dokonane li tylko przez ich mieszkańców i to mieszkańców znających dokładnie przeszłość, teraźniejszości i możliwości rozwoju na przyszłość zamieszkanej przez nich części kraju.

*) patrz mój artykuł „Krajoznawstwo, regionalizm, planowanie" „ZIEMIA" 1949, str. 186.

Mówiąc o tym nie zamierzam lansować ujmowania „ruchu regionalistycznego" w jego dawnej postaci. Nie jestem zwolennikiem stwarzania jeszcze jednego, osobnego aparatu organizacji społecznej. W zakresie rozwoju kultury i gospodarki poszczególnych regionów, tej prowincji często zabitej deskami, powinno i musi pracować wiele organizacji i instytucji. Musi pracować właściwie całe ludowe społeczeństwo. Jednak moim zdaniem szczególnie dużą rolę powinny odgrywać w tym zakresie odpowiednio zorganizowane szeregi krajoznawców.

Program regionalny krajoznawstwa nie ma na celu realizacji jakichś specjalnych założeń. Powinien on jedynie stworzyć niezbędne ogniwo w dziedzinie wszechstronnego i równomiernego rozwoju kultury i gospodarki każdej części kraju.

Krajoznawstwo polskie powinno przeto więcej niż obecnie przyczyniać się do rozszerzenia i pogłębienia poznania regionów kraju w zakresie życia społecznego i gospodarczego oczywiście swoimi własnymi metodami pracy.

Ale jakie są te własne metody?

Zatarły się one nieco w naszej świadomości. W ostatnich latach zbyt pochłaniały nas zagadnienia ważne organizacyjnie i za mało myśleliśmy o sposobie przeprowadzenia naszej działalności krajoznawczej. Na temat metod potrzebna jest nam również dyskusja. Musimy dostosować je do naszej obecnej działalności obejmującej szerokie rzesze krajoznawców i turystów. No, ale wróćmy do założeń programowych.

Krajoznawstwo regionalne jest najwłaściwszą — choć może nie jedyną — formą naszego ruchu. Jego założenia programowe są bardzo szerokie. Wydaje się, że rozsadzają one dotychczasowe ramy naszej organizacji. Tak chyba jednak nie jest. Znajdzie się przecież w naszych kołach miejsce na rzetelne pogłębianie zakresu regionalnego wiedzy krajoznawczej; zakresu wiedzy z szerokim uwzględnieniem lokalnych problemów kulturalnych, społecznych i gospodarczych.

Czasem słyszy się pogląd, że organizacje turystyczno-krajoznawcze skupiają ludzi pragnących przeżywać przyjemne chwile na łonie przyrody, w ucieczce od trosk i zmartwień życia codziennego, a może od naszej obecnej rzeczywistości. Jeden z zachodnich publicystów wręcz zakwalifikował ruch turystyczny w swym kraju do prądów epikurejskich i związał go z światopoglądem egzystencjonalnym. Nie przesądzam, w jakim stopniu ocenę tę można odnieść do polskiego ruchu turystycznego. Chcę jedynie stwierdzić, że rozwój właściwie pojętego krajoznawstwa regionalnego idzie zdecydowanie w poprzek tego rodzaju opiniom.

Wycieczka, kontakt bezpośredni z przyrodą czy zabytkami, to elementy, które były, są i będą bardzo charakterystyczne dla pracy krajoznawczej. Chodzi tylko o to, aby pracę naszą, prowadzoną nadal naszymi metodami, rozszerzyć w kierunku pełniejszego zakresu wiedzy o kraju, a przede wszystkim regionie. Chodzi o poznanie problemów właściwego zagospodarowania regionu, słusznej lokalizacji zakładów produkcyjnych, racjonalnych kierunków rozwoju poszczególnych miasteczek, miast, powiatów itp.

Wędrując na krótkie wycieczki jednodniowe starajmy się na przykład poznać charakter gospodarki rolnej, potrzeby melioracyjne, wykształcenie szaty leśnej i jej przemiany w porównaniu z pierwotnym zalesieniem, rodzaj gleb, a może i występujące tu i ówdzie niekorzystne objawy erozji gleb lub zboczy. Jeśli zaprosimy na naszą wycieczkę jakiegoś fachowca agrotechnika czy leśnika, to na pewno wiele ciekawych rzeczy pokażą nam oni w terenie.

Nie muszę chyba udowadniać, że wycieczka po mieście z konserwatorem zabytków lub historykiem da nam również bardzo wiele. Nie wiem jak przedstawia się sprawa działalności społecznych opiekunów zabytków architektury i zabytków przyrody. Sieć takich opiekunów była przed paroma laty organizowana przez PTTK. Jakże silnie wiąże się ich działalność z życiem kulturalnym regionów. Raz po raz słyszy się lub czyta w prasie alarmujące wiadomości o niszczeniu cennych zabytków wskutek wandalizmu, bezmyślności czy niezrozumienia. Jakże ważną rolę w ich ochronie mogłoby odegrać właściwie postawione krajoznawstwo regionalne.

Źle się dzieje również i na odcinku ochrony przyrody. Istnieje w Polsce jakieś dziwne nieporozumienie, że problemy z tym związane są wymysłem grupy naukowców. Zapomina się, że chodzi tu o zachowanie właściwych powiązań pomiędzy takimi elementami środowiska geograficznego jak formy powierzchni ziemi, wody, klimat, czy szata roślinna. Że bez tych powiązań nie ma utrzymywania zasobów naturalnych (gleb, wód, złóż mineralnych itp.) celem ich długotrwałego i rozumnego wykorzystywania dla gospodarki oraz uniknięcia szybkiej ich dewastacji. Wynika stąd konieczność tworzenia całkowitych lub częściowych rezerwatów oraz ochrony zabytków przyrody w różnych częściach Polski. Krajoznawstwo regionalne ma wiele ważnych zadań, nie tylko w progagowaniu ogólnych założeń ochrony przyrody, ale również we wskazywaniu konkretnych faktów, jeśli gdziekolwiek źle się dzieje w tym zakresie. A są to przecież sprawy niezmiernie doniosłe i pod względem kulturalnym i gospodarczym w każdym chyba regionie.

W ten sposób pojęte krajoznawstwo byłoby nie tylko biernym i wąsko traktowanym poznaniem swego kraju i regionu. Staloby się niewątpliwie czynną pracą poznawczą, a może nawet badawczą. Nie chodzi mi tutaj o wprzągnięcie szerokich rzesz krajoznawców do badań terenowych. Chodzi tylko o to, aby w naszych kołach stworzyć atmosferę czynnego stosunku do poznawanych elementów regionu. Aby możliwie wszechstronne wiadomości i obserwacje zdobywane na wycieczkach były uzupełnione lekturą, referatami na zebraniach, aby były dyskutowane i napraw-

DOKOŃCZENIE NA STR 19



Kazimierz Saysse-Tobiczyk — pisarz krajoznawczy, literat i publicysta, fotografik. Zarazem działacz turystyczny i pionier polskiego campingu. Autor kilku tomów nowel o tematyce górskiej: „Monte Adamello", „W śniegach Alp Rumuńskich", „Wilczysko", oraz kilkudziesięciu ilustracyjnych dzieł popularno-naukowych i albumów krajoznawczych. Redaktor naczelny czasopism turystycznych oraz działów literacko-naukowych w prasie przedwojennej.

ZIELONE LETNISKA

Wiele już upłynęło wody w Dunajcu, Popradzie i Narwi od czasu gdy nad ich malowniczymi brzegami zakładano w 1931 roku pierwsze „zielone letniska". Niemało też od owego czasu zmieniło się na świecie. O campingu i weekendach dochodziły wówczas do nas zaledwie pierwsze wieści — ani nasza prasa ani organizacje turystycznego ruchu przez szereg jeszcze lat nie zdradzały najmniejszego zainteresowania tą sprawą.

Tymczasem wspaniała idea wypoczynku w bezpośrednim kontakcie z przyrodą, wytchnienia po pracy, ucieczki z murów miast na rzeki, jeziora, pola i lasy, wyzyskania każdego wolnego dnia na najbliższy choćby wypad za miasto — zdobyła sobie cały świat. Dziesiątki milionów ludzi w krajach Europy i Ameryki spędza dziś weekendy na wczasach kampingowych. Wokół wszystkich większych miast na zachodzie powstały niezliczone stacje obsługowe, parkingi, obozy namiotowe, aż do urządzonych z nowoczesnym komfortem luksusowych osiedli z domkami składanymi i pawilonami. Od wczesnej wiosny do jesieni, czy pogoda czy deszcz, płyną autostradami bezkresne kolumny motorowych pojazdów. Weekend i camping stały się masowym, dostępnym dla wszystkich, żywiołowym ruchem.

Jak zwykle w każdej pionierskiej robocie, pierwsze kroki naszego campingu nie były wolne od trosk, niepowodzeń i bolesnych zawodów.

Zrazu zapowiadało się wszystko jak najlepiej. A więc były nowiutkie, czyste domki składane o dachach z brezentu. Był okazały, wybudowany w solidnej ciesiołce pawilon z restauracją i tarasami w kwiatach. Było lato, słońce, Pieniny, ruiny czorsztyńskiego zamczyska, kąpiele w Dunajcu, wędrówki po Spiszu, wieczory przy ogniskach...

Rok 1931. Skromna notatka w prasie ściągnęła na pierwsze letnisko kampingowe w Czorsztynie kilkadziesiąt osób — kilku profesorów z krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, kilka małżeństw z Warszawy i Katowic, nawet dwie „mamy z pociechami" — młodzieży naogół niewiele. Większość kompanii czuła się wybornie „na łonie przyrody", choć byli i tacy którym rzedły miny na widok prymitywnej pryczy z siennikiem i plagi wielonogich skorków spacerujących po kocach i poduszkach. Po paru dniach treningu i oni jednak godzili się z losem.

To pierwsze letnisko w typie szwedzkich nadmorskich kolonii kampingowych wybudowałem bez niczyjej pomocy, licząc że w przyszłym roku eksperymentem tym zainteresuje się Touringklub Polski. Jedyne poparcie dla tej pracy pionierskiej uzyskałem od ówczesnego właściciela Czorsztyna Stanisława Drohojowskiego, który bezpłatnie oddał mi w dzierżawę teren na Nadzamczu.

W następnym roku, pomimo kłopotów i deficytu z pierwszego sezonu, wybudowałem przy życzliwej współpracy właściciela Żegiestowa - Zdroju Kazimierza Krukierka drugą z kolei osadę kampingową na Łopacie Polskiej w pętli Popradu. Oba te letniska, położone w najpiękniejszych górskich zakątkach kraju, przyciągnęły w tym roku stokilkadziesiąt osób — tym razem głównie młodzież.

Rezultatem tych obu pionierskich sezonów było zyskanie sporej już gromadki entuzjastów campingu i — gorzkie doświadczenie, iż bez poważnych funduszów publicznych nie da się dłużej kontynuować akcji prywatnym kapitałem. Touringklub początkowo godził się na przyjęcie obu letnisk górskich i sfinansowanie podwarszawskiego letniska w Popowie, w ostatniej jednak chwili tuż przed samym sezonem wycofał się z imprezy.

W tej to beznadziejnej napozór sytuacji zdołałem doprowadzić w lecie 1932 roku do zawiązania spółki udziałowej pod nazwą „Towarzystwo Letnisk Campingowych". Udziałowcami byli uczestnicy wczasów w Żegiestowie, Czorsztynie i Popowie w liczbie około 30 osób. Akcja tego zrzeszenia skierowana była głównie na weekend w terenie podstołecznym.

Wszystkie te trzy letniska nosiły charakter wyraźnie pionierski. Budowane były w takich miejscowościach, gdzie wyżywienie prowadzone było przez pensjonaty właścicieli terenów na ich własny rachunek. Z drobnych opłat za pobyt i nocleg na campingu nie można było nawet przy pogodzie i *optimum* frekwencji pokryć amortyzacji wkładów.

Grupa zapaleńców nie dała się jednakże odstraszyć i zrazić byle czem. Zwłaszcza od otwarcia w czwartym

U góry: pierwszy pawilon campingowy w Jadwisinie nad Bugo-Narwią (1933). Niżej: domek campingowy na letnisku campingowym w tymże Jadwisinie (1937). Zdjęcia autora artykułu.

sezonie pięknie położonego campingu w Jadwisinie nad Bugo-Narwią, napływ letników i weekendowców wzrastał z każdym rokiem. W roku 1938 Polskie Biuro Podróży „Francopol" wykupiło udziały „Towarzystwa Letnisk Campingowych" i objęło odtąd prowadzenie pod własnym zarządem letniska w Jadwisinie.

Od tej jednak pory ciche dotąd ustronie w radziwiłłowskim parku ponad Narwią zmieniło gruntownie swój pierwotny charakter. Przyjeżdżali tu dawniej wyłącznie miłośnicy szczerego campingu, przyrody, ciszy, plaży, kajaków, rybołóstwa, słońca i zieleni. Gościli często członkowie licznej kolonii cudzoziemskiej. Mieszkały tygodniami rodziny na wczasach. Prócz piwa i lemoniad nie było innych trunków w bufecie zakładowym.

W nowej sytuacji camping nad Narwią przekształcił się szybko w tłumnie odwiedzaną stację weekendową. Jadwisin stał się modny. Wysokie brzegi rzeki rozkwitły dziesiątkami coraz to nowych kolorowych domków i kiosków, zaroiły się tłumem setek weekendowców w soboty i święta.

Camping ze swoją rzetelną przyrodą, ciszą i zielenią, pomknął w dal — na skrzydłach jachtowych żagli i wiosłach kajaków...

*

I oto nadszedł rok 1939. Gdyby nie wybuch wojny, stał by się on bezsprzecznie pamiętną datą w dziejach polskiego campingu. Na zaproszenie Związku Powiatów R.P. odbył się dnia 10 maja owego roku zjazd przeszło 100 delegatów letnisk, gmin i samorządów powiatowych, na którym przyjęto statut nowego „Związku Letnisko-Turystycznego woj. warszawskiego" oraz plan rozbudowy z funduszów wojewódzkich campingów i weekendowych stacji na przedpolach stolicy.

Opracowany i wygłoszony przezemnie, jako wiceprezesa Związku, projekt rozplanowania podmiejskich ośrodków masowego ruchu, przewidywał uzgodnioną już z Województwem bezzwłoczną budowę stacji weekendowych nad Wisłą w górę miedzeszyńskiego wału, z własną autostradą i tramwajem wodnym — jakoteż na większą jeszcze skalę podjętą na mój wniosek przez „Ligę Popierania Turystyki" z wiosną 1939 roku akcję wybudowania kosztem kilku milionów złotych olbrzymich inwestycji sportowych, campingowych i weekendowych nad Bugo-Narwią.

Równocześnie ruszyła wreszcie z miejsca organizacja turystycznego campingu kajakowego i motorowego. W sierpniu tuż przed wojną powołano do życia „Polski Związek Campingowy" z siedzibą w Krakowie. Akcją tą kierowali znani turyści krakowscy dr Ludwik Kowalski i dr Antoni Bober.

Tak więc po ośmiu latach żmudnych i wytrwałych poczynań pionierskich otwarły się nagle wspaniałe perspektywy spopularyzowania „zielonych letnisk", campingu i weekendu w Polsce. Zwycięstwo było już tak bliskie...

W parę tygodni później pierwsze wagony z ksylotektową dyktą na budowę letnisk zostały rozbite na warszawskim dworcu przez hitlerowskie bomby.

Kazimierz Saysse-Tobiczyk

NIEBAWEM...

Niebawem ukaże się nowy zeszyt z serii Atlasu Polskich Strojów Ludowych. Będzie to „Strój Sandomierski" Janusza Kamockiego. Opracowanie wymagało nie tylko długotrwałych badań w terenie, lecz również żmudnych poszukiwań w archiwach i bibliotekach. Reprodukujemy tutaj kilka dawnych ilustracji. Bez materiałów tego rodzaju nie moglibyśmy sobie zdać sprawy z przemian stroju ludowego w tych czasach, których już nie sięga pamięć starych wieśniaków.



Z prawej: garncarz z Łagowa w powiecie opatowskim. Rysunek na pucharze cechowym łagowskich garncarzy.

Poniżej: korowód sobótkowy w jednej z sandomierskich wiosek wg. rysunku z „Sandomierszczyzny" O. Kolberga. Jeszcze w r. 1905 tańczono tu wokół sobótkowych ognisk w takich właśnie strojach.



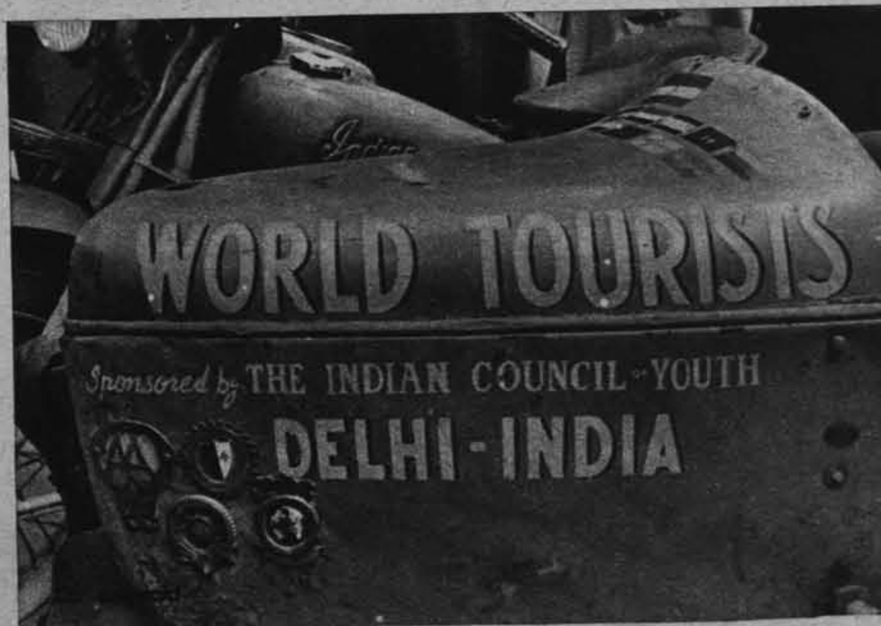




Z prawej: sandomierski strój ludowy wg. współczesnej ikonografii. Mal. Aleksander M. Haupt.

Z lewej: chłopi sandomierscy w ubiorach świątecznych wg. „Mapy poglądowej Królestwa Polskiego" wydanej w Warszawie w r. 1885.

ZNUŻENI PODRÓŻNICY



Kilka miesięcy temu wszystkie Polskie czasopisma ilustrowane zamieściły zdjęcie przedstawiające dwu młodych, wąsatych Hindusów siedzących na motocyklu z przyczepką. Napisy pod zdjęciami informowały, że pp. Rajnit Singh Patter i Uphar Singh Obersi, studenci anglistyki z New Delhi odbywają podróż dookoła świata, że finansuje to Indyjska Rada Młodzieżowa, że po drodze doznali wielu przygód, że mimo zmęczenia podróżą zgodzili się udzielić szeregu wywiadów itp. Po czym egzotyczni goście zniknęli gdzieś. Niedawno przed krakowską restauracją „Szarotka" zatrzymał się wielki nieco sfatygowany motocykl z cudzoziemskimi napisami i dwaj brunatnoskórzy młodzieńcy zniknęli w głębi jadłodajni. Tym razem maszynę otoczyła zaledwie niewielka grupka gapiów. Nic dziwnego: po mieście podobno krążył równocześnie legendarny amerykański samochód osobowy z zainstalowanym telewizorem. Ale i hinduscy goście bynajmniej nie zdradzali ochoty do rozmów a bardziej natrętnym tubylcom podsuwali pod nos artykuł jaki sami o sobie napisali swego czasu w „Ekspresie". No cóż — bohaterowie są zmęczeni.

NA ODPUŚCIE

Chłopi mają policzki i karki ogorzałe od słońca, ale kiedy odsłaniają głowy gromadząc się na stokach Jasnej Góry, biel czoła odcina się ostro od opalenizny. Mrużąc oczy wpatrują się godzinami w szczyt klasztoru. Chusteczki, zapaski, spódnice i bluzki wieśniaczek pstrzą się wszelkimi barwami. Głowa przy głowie olbrzymi kolorowy tłum zapełnia przestrzeń od murów aż po parki. Egzotyka tego obrazu jest tak uderzająca, że aż dziw bierze iż nikt dotychczas nie zajął się badaniem i opisywaniem zjazdów odpustowych, których liczebność może być porównywana ze słynnymi zbiegowiskami religijnymi w Benares czy w Mecce.

Nie chodzi mi jednak w tym wypadku o religijną stronę zjawiska, o ekspiacyjne znaczenie pielgrzymek, o nabożeństwa. Pisano już o tym wiele. Każdy odpust to także wielkie ludowe święto. Trzeba obejrzeć setki izb wiejskich żeby się przekonać jak poczesne miejsce zajmują w nich zakupione na odpustach przedmioty dewocyjne, jak długo przechowuje się zdjęcia wykonane przez odpustowego fotografa na tle makiety Jasnej Góry z napisem „Pamiątka z Częstochowy".

Tradycje podobnych zjazdów są bardzo stare. Może u ludów rolniczych w ten sposób wyrażała się podświadoma chęć przenoszenia się z miejsca na miejsce? Nawet prymitywne kultury łowieckie znały niekiedy doroczne święta religijne, połączone z zabawami i wymianą handlową. Może więc chrześcijaństwo związało nowe święta z jakimiś dawnymi obchodami pogańskimi? To rzecz historyków kultury. Ale gdy zabiorą się oni do opisywania współczesnych nam odpustów, pewnie będzie jak zwykle za późno i trzeba będzie dociekać mozolnie jak przebiegały zjawiska, których ślad pozostanie tylko w tradycji. Nie przesądzajmy samego istnienia odpustów. Chodzi mi w tym wypadku tylko o „odpusty" w sensie ich strony zabawowo-jarmarcznej, ludowej i połączonych z tym tradycyjnych zwyczajów.

Ile z tego jeszcze zostało? Znałem Częstochowę jako dziecko. Kiedy przyjechałem tu po dwudziestu pięciu latach, nie mogłem odnaleźć w mieście tego charakteru który zapamiętałem. Widziałem kominy fabryk których przedtem nie było, nowe bloki mieszkalne, inne szyldy. Ale między Rynkiem Wieluńskim a kościołem św. Barbary wszystko było jak dawniej. Te same małe kamieniczki, te same kasztany i takie samo olbrzymie chłopskie mrowie.

Trudno dociec gdzie śpi kilkaset tysięcy przybyszów. Część dostaje się do domów pątniczych, lub znajduje noclegi w ciasnych, cuchnących kamieniczkach dzielnicy zwanej Częstochówka. Wielu całą noc czuwa na modlitwie lub stoi w kolejce do spowiedzi. Reszta śpi pokotem na ziemi, w parkach, na podwórzach domów, pod Klasztorem.

Dziś większość pielgrzymek przyjeżdża samochodami. Rynek Wieluński i wiele uliczek i placów zamienia się w olbrzymi parking pełen ciężarówek i autobusów. W sobotę ciągną od dworca alejami „kompanie" przybywające koleją. Ludzie w komżach niosą kościelne chorągwie, biało ubrane dziewczęta z asysty trzymają wstążki feretronów. Za księdzem idą śpiewający wieśniacy z teczkami i koszykami w rękach. Pod Jasną Górą złożyli pogięte









mosiężne trąby muzykanci strażackiej orkiestry. Widziałem zazdrość na ich twarzach, gdy patrzyli na następną kompanię, której orkiestra była liczniejsza i lepsza. Strażacy mieli czapki z długimi rogami i daszkami wielkimi jak dzioby.

Kiedy jeszcze nie słyszano o autokarach a kolej była nowością, prawie wszyscy przychodzili pieszo. Spod Warszawy szło się do Częstochowy dwa tygodnie. Starzy ludzie mogą wam jeszcze opowiedzieć o tych pielgrzymkach. Z roku na rok zatrzymywano się na popasy zawsze w tych samych miejscach. Za ludźmi wozy wiozły bagaże i zapasy żywności. Widziałem jeszcze takie wozy w Alejach. Przykryte były płachtami, napiętymi na drewnianych pałąkach. Jedna tylko kompania przyszła w tym roku 7 września pieszo.

Stara uboga wieśniaczka kupowała na straganie rzeźbiony piórnik dla swojej wnuczki. Dziewczynka cieszyła się. Być może przez kilka lat będzie to dla niej najcenniejszy przedmiot. Na prymitywnych ruletkach można wygrać gipsowe koty o ludzkich oczach, czerwono-zielone ptaki i blaszane świstawki. Żadna cepelia i żaden jej etnograficzny doradca nie narzucili jeszcze tutaj swoich gustów. Pełno tu strasznie brzydkich, klasycznie odpustowych i najautentyczniej ludowych wyrobów.









Stragany, budy, kramy i stoliki z wyłożonym towarem ustawione są w wiele rzędów. W dzień ledwie można się przecisnąć, wieczorem jest luźniej i chłodniej. Handel toczy się do późna w noc. Każdy kupuje dla siebie, rodziny sąsiadów, którym obyczaj nakazuje przywieźć prezenty. Olbrzymia jest liczba pątników, ale równie imponująca jest ilość handlarzy. Nie ma już wielkich częstochowskich kupców dewocjonalii. Zastąpiła ich Veritas z dziesiątkami swych kramów. Zostało jednak nieprzebrane mrowie drobnych przekupniów, którzy cały swój towar przenoszą w jednej walizce. Czasem jakaś babina wystawia kilka zaledwie figur czy obrazów, lub zarośnięty kolejarz rozkłada na ziemi kilkanaście celuloidowych zabawek.

Większość handlarzy wyglądała na przybyszów z daleka. Wbrew powszechnemu mniemaniu tylko nieliczny procent mieszkańców Częstochowy żyje z pielgrzymów. Ci podczas odpustów zbierają swoje żniwo. Wiele tygodni wcześniej w ciemnych komórkach zawsze pijani ludzie tłoczą na sztancach krzyżyki i medaliki. Posrebrzają je w dymiących kwasami beczkach. Potem wciskają je przybywającym wieśniakom. Ci cyniczni sprzedawcy krążą wśród tłumu, obnosząc swój towar w rękach lub na drążkach.

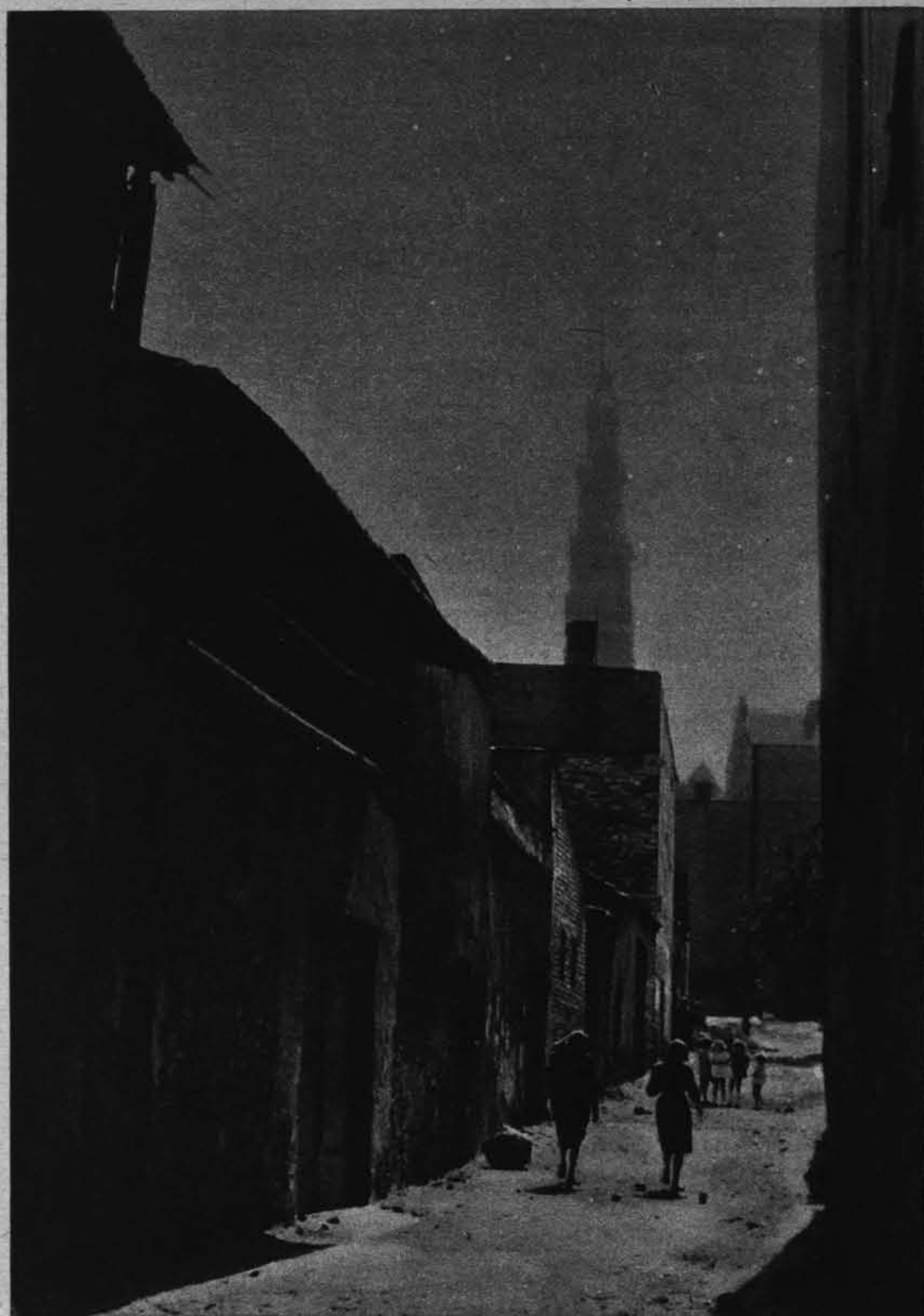
Dawna Częstochowa miała podobno zorganizowany świat przestępczo-żebraczy, do którego należeli nie tylko przodkowie owych natrętnych sprzedawców, ale też i złodzieje, korzystający z nieuwagi rozmodlonych pątników i słynne „częstochowskie dziady". Przy olbrzymiej liczbie charytatywnie nastawionych pielgrzymów żebractwo było bardzo intratne i podobno poszczególni żebracy dochodzili nieraz do znacznych majątków. Ów „związek" rozdzielał miejsca, niestowarzyszonych przepędzano bezwzględnie. Pamiętam z dzieciństwa długie szeregi potwornych żebraków, których trzeba było mijać wchodząc do klasztoru. Dziś tylko gdzie niegdzie ujrzy się wśród tłumu dziada-kalekę. Proceder ten jest surowo zabroniony.

Niewątpliwie legendy otaczające historię „bractwa" przestępczego są przesadzone, ale samo jego istnienie wydaje się faktem. Do dziś jeszcze w użyciu jest tajna gwara, podobna do tej którą posługiwali się ślesińscy obraźnicy. To zagadnienie szczególnie pilnie czeka na swego historyka.

W bocznej ulicy zobaczyłem dym. Pod kasztanami kurzyło kilkadziesiąt blaszanych kominów. Przy zastawionych stołach posilało się chłopstwo, a obok na prymitywnych kuchniach z gliny i cegieł odgrzewano przyniesione skądś stągwie kapuśniaku i smażono kotlety. Nikt nie czekał na posiłek. Właściciele tych jadłodajni pod gołym niebem zapraszali przechodniów niczym wschodni kupcy. Gdzie indziej sprzedawano lemoniadę, piwo, lub wodę sodową. Czasem był to samochód pełen butelek, czasem jakaś staruszka stawiała na stołku dzban z sokiem i dwie szklanki.

Pierwszego dnia wydawało mi się że wszystko jest jak dawniej. Mniej tylko było ludowych strojów, a dziewczęta w łowickich pasiakach chowały zakupy do nylonowych koszyków. Drugiego dnia spostrzegłem w czym różnica. Nie było atmosfery zabawy, nie było karuzel, strzelnic i innych rozrywek jarmarcznych. Nie tylko więc samochody stanowią o zmianie. Warto się zastanowić nad przyczynami tego zjawiska. Może to spostrzeżenie jest powierzchowne, a może ma jakieś istotne podłoże socjologiczne. Oczywiście nie miejsce w krótkim reportażu na takie rozważania, ani w ciągu dwu dni nie da się tego dociec. Piszę o tym dla zwrócenia uwagi.







TEKST: PRZEMYSŁAW BURCHARD
ZDJĘCIA: ZBIGNIEW ŁAGOCKI

SEKRET RZEŹBIONYCH KLOCKÓW

MARIA PRZEŹDZIECKA

Drzeworytnictwo ludowe to gałąź sztuki dziś już w zasadzie zamarła. Nie chodzi tu oczywiście o drzeworyty wykonywane przez jakiegoś wieśniaka na doroczne konkursy lub wystawy, lecz o ten rodzaj drzeworytów, które ongiś wyrzynano w małomiasteczkowych warsztatach drzeworytniczych i następnie odbijano seryjnie. One to właśnie sprzedawane przez handlarzy chłopom, zdobiły później wnętrza wiejskich izb. Prymitywne drzeworyty ludowe nie mogły wytrzymać na odpustowym kramiku konkurencji z naturalistycznym oleodrukiem. Ich twórcy przestali uprawiać swą sztukę — nie opłacała się. Zaledwie cząstkę z dawnych okazów drzeworytniczych zdołali uratować kolecjonerzy i badacze sztuki ludowej. Toteż obecnie znalezienie na wsi ludowego drzeworytu to naprawdę nielada odkrycie. A już nigdy prawie nie można ustalić jego autorstwa. Rzadko ludowy artysta podpisywał swoje twory. Tym nie mniej czasem udaje się etnografowi rozwiązać tajemnicę anonimowego obrazu. Wymaga to jednak żmudnych i długotrwałych badań. O takich właśnie poszukiwaniach pisze Maria Przeździecka.



Oryginalny płazowski klocek drzeworytniczy ze zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie.



Odbitka pokazanego obok klocka, przedstawiająca postać Chrystusa siedzącego na tronie

Na północnych krańcach powiatu lubaczowskiego w województwie rzeszowskim leży w otoku pierścienia lasów mała osada. Jest nią Płazów — dotychczas siedziba gromadzkiej rady narodowej. Ostatnio jednak czynniki miarodajne postanowiły gromadę płazowską zlikwidować i włączyć do sąsiadującej z nią Rudy Różanieckiej. Obywatele Płazowa żywo tym postanowieniem dotknięci wszczęli walkę o utrzymanie gromadzkiej rady w dawnym „mieście Płazonium" lokowanym w 1616 roku na równych prawach z Lublinem i Sandomierzem. Na poparcie słuszności swoich, jakże skromnych, roszczeń przedkładają oryginalny dokument z roku 1727 zatwierdzający XVII-wieczną lokację miasteczka.

Miejski charakter Płazowa stwierdza również akt erekcyjny kościoła prafialnego wydany w 1639 roku oraz do dziś dobrze widoczne szachownicowe rozplanowanie osady: duży prostokątny plac przed obecnym kościołem murowanym, zapewne dawny rynek, z którego trzech narożników dziś jeszcze wybiegają pod kątem prostym po dwie ulice łączące się z innymi w układ drobnej szachownicy. Rynek ten sięgał zapewne nieco dalej w kierunku południowo-wschodnim aż do dawnej drewnianej fary, o której mowa w lustracji z 1765 roku. Niestety z osiemnastowiecznych zabudowań miejskich nie zachowało się dziś już nic — za wyjątkiem chyba okrągłych małych studni z łupanych kamieni. Jest ich kilka w wąskich i bogato zadrzewionych uliczkach bocznych.

Oprócz dokumentów i rozplanowania osady z obszernym rynkiem pośrodku, nic już nie przypomina dawnego świetnego zapewne istnienia „miasta Płazonium", liczącego nie więcej mieszkańców niż przeciętna wieś. W tychże nielicznie zachowanych do dziś dokumentach brak jest — rzecz zagadkowa — wzmianek świadczących o tradycjach rzemieślniczych i handlowych.

Czymże więc słynął Płazów?

Był czas, kiedy słynął on z kunsztu, którym nie mogły się pochwalić współczesne mu okoliczne miasteczka. Tu bowiem kwitło w pierwszej połowie XIX wieku (a może nawet wcześniej) drzeworytnictwo ludowe na wielką skalę, chociaż miejscowość — co ciekawsze — nie pretendowała do miana ośrodka pątniczego.

Żyjący jeszcze kościelny, 71-letni Michał Kostrzycki jest w prostej linii wnukiem ostatniego drzeworytnika płazowskiego Macieja Kostrzyckiego, który odbijał z rzeźbionych przez siebie klocków drzeworytniczych liczne obrazy świę-

DOKOŃCZENIE STR. 25

KRAJOZNAWSTWO REGIONALNE

(dokończenie ze str. 13)

dę poważnie przeżywane, a nie traktowane jako nudne zakłócenie radości beztroskich wędrówek.

Jakże poważne zadania spadłyby na barki opiekunów czy przewodniczących kół krajoznawczych. Jednocześnie, jak dużą pomoc moralną i faktyczną dozna1iby ci spośród nich, którzy prowadzą już obecnie lub prowadzić będą bardziej systematyczne studia na jakiekolwiek tematy regionalne.

O takich studiach mówi się obecnie tu i ówdzie coraz więcej. Związek nauczycielstwa zamierza zorganizować odgórnie i dać nawet pewną podstawę materialną dla tych co prawda drobnych i wycinkowych, ale jakże dla wielu części Polski pożytecznych prac analityczno-badawczych. Wiemy przecież dobrze, w jak wielkim zaniedbaniu materialnym i kulturalnym żyją ludzie w wielu miastach i miasteczkach naszego kraju, oraz jak powszechny musi być wysiłek, aby tą tzw. prowincję wyrwać z marazmu i biedy. W pracy tej nie może oczywiście zabraknąć i naszego udziału.

Program krajoznawstwa regionalnego powinien znaleźć odbicie w naszych wydawnictwach książkowych i czasopismach. W tym zakresie widzę potrzebę ilościowego i jakościowego rozwoju publikacji typu monografii krajoznawczych. Publikacje takie mają już ustalone ujęcie i własną problematykę, które należy oczywiście każdorazowo dostosowywać i modyfikować w zależności od tych czy innych zagadnień, w tej czy innej części Polski wysuwających się na czoło. Widzę tu dużą rolę dla aktywu intelektualnego nauczycieli geografii i historii z całego kraju.

Nasze czasopisma powinny również w większej niż dotychczas mierze uwzględnić aktualne życie różnych miast, miasteczek czy regionów kraju. Wiem, że jest to dość trudny odcinek pracy. Że bardzo łatwo wpaść albo w jałowy krytycyzm, albo drętwość mowy; wszystkie gazety ciągle o tym teraz piszą i temat przejadł się już wielu czytelnikom. Dlatego też trzeba wypracować własny, regionalno-krajoznawczy punkt widzenia i własny sposób podawania odnośnych materiałów.

Tych kilka myśli na temat właściwego kierunku i tematyki pracy krajoznawczej ma na celu wskazanie niektórych możliwości rozszerzenia i pogłębiania naszej działalności. Byłby to jednocześnie postęp naszego ruchu, większe związanie go z obecnym nurtem naszego życia społecznego. Byłby to oryginalny wkład naszego pokolenia do rozwoju krajoznawstwa. Realizowalibyśmy go naszymi na nowo przemyślanymi metodami.

W ciągu lat ubiegłych umasowiony został w poważnym stopniu ruch turystyczny. Jest to niewątpliwie zasługa PTTK. Dla mnie osobiście nie jest przykry „widok stada turystów", tak jak dla Przyjaciela dyskutującego w redakcji „Ziemi" na temat krajoznawstwa. Wiem jednak, że jest to w ogromnej większości „turystyka beztreściowa", a dla schronisk „nalot stonki".

Ile razy widzę „stado turystów", które jest zwykle czymś gorszym niż wycieczka spotkana na Trzydniowiańskim Wierchu, to zawsze uświadamiam sobie że najwyższy już czas przystąpić do pracy nad nowymi szeroko pojętymi założeniami programowymi krajoznawstwa przede wszystkim regionalnego. Krajoznawstwa, które nie byłoby tylko beztroskim wycieczkowaniem, ale również poważnym ruchem społecznym.

ZAMIAST ROZMOWY Z PRZYJACIELEM

zamieszczamy na stronach 13 i 19 artykuł dyskusyjny Stanisława Berezowskiego, jakkolwiek nie ze wszystkimi tezami tego doświadczonego działacza krajoznawczego się zgadzamy. Właśnie bowiem o wszczęcie konstruktywnej dyskusji nam chodziło, gdy w majowym numerze drukowaliśmy pierwsze „rozmowy". Jednakże wśród wielu listów, jakie napłynęły do redakcji w związku z „rozmowami" — prawie wszystkie wyrażają tylko aprobatę inicjatywy lub potwierdzenie naszych poglądów. Czekamy nadal na głosy przeciwników.





Rys. Tadeusz Smaga.



Autor artykułu — 36-letni historyk i anglista, interesuje się głównie dziejami Krakowa. W latach 1951—57 ogłosił szereg prac z tego zakresu. Początkowo kustosz Muzeum Historycznego m. Krakowa, obecnie adiunkt Muzeum Śląskiego we Wrocławiu.

WIELKI POŻAR KRAKOWA

JULIUSZ DEMEL

W DZIEJACH KAŻDEJ NIEMAL MIEJSCOWOŚCI O DŁUŻSZEJ TRADYCJI HISTORYCZNEJ POCZESNE MIEJSCE ZAJMUJE KRONIKA KLĘSK ELEMENTARNYCH. ŻYWIOŁY POWIETRZA, WODY I OGNIA, NIOSĄCE ZARAZĘ, POWODZIE, POŻARY, GŁÓD, CZĘSTO NAWIEDZAŁY LUDZKIE OSIEDLA. NĘKAŁA JE I RĘKA LUDZKA CZASU WOJNY. POZOSTAWAŁY SPUSTOSZENIA I ZGLISZCZA, GROBY POMARŁYCH I ZABITYCH, NĘDZA ŻYWYCH I PEŁNE GROZY WSPOMNIENIA STRASZNYCH DNI, GDY MIESZKANIEC MIASTA CZUŁ SIĘ ZNIKOMYM PYŁEM LUDZKIM, BEZBRONNYM W OBLICZU ROZSZALAŁYCH WROGICH MOCY, NAD KTÓRYMI NAJCZĘŚCIEJ NIE MIAŁ JUŻ ŻADNEJ WŁADZY.

TAKŻE I WIEK XIX, EPOKA SZYBKIEGO POSTĘPU TECHNICZNEGO I WIELKICH OSIĄGNIĘĆ CYWILIZACJI LUDZKIEJ, NIE BYŁ WOLNY OD WYDARZEŃ PRZYPOMINAJĄCYCH RAZ JESZCZE NAJCIĘŻSZE PRZEJŚCIA I DOŚWIADCZENIA LUDZI POPRZEDNICH STULECI.

DREWNIANE DACHY

Miasto było niewielkie, zaledwie czterdziestotysięczne. Przedmieścia, oddalone od rynku o kilka minut drogi, zabudowane były w przeważnej części parterowymi, drewnianymi domkami, położonymi wśród ogrodów, a nierzadko jeszcze i pól uprawnych. Lecz i w śródmieściu na każdym prawie kroku można było napotkać drewniane zabudowania służące jako składy towarów, szopy na siano i słomę, wozownie. Rynek po obu stronach średniowiecznych murowanych kramów kupieckich zajmował malowniczy labirynt drewnianych bud i przybudówek, kramów i straganów. Wnętrza kamienic kryły całe mnóstwo konstrukcji drewnianych. Schody, poręcze, stropy, ganki obiegające podwórza, zrobione były z drzewa. Gdyby zaś wówczas z którejś spośród licznych wież górujących nad miastem spojrzeć na widniejące w dole dachy stłoczonych domostw, ogromną większość przestrzeni zajęłyby zczerniałe od starości poszycia z drewnianych gontów. Gdzieniegdzie tylko zajaśniałyby barwniejszą plamą wysepki czerwonej dachówki lub zielonej, zaśniedziałej blachy. I to miasto, narażone w wypadku pożaru na straszliwe niebezpieczeństwo, nie miało jeszcze przed wiekiem stałej, zawodowej straży pożarnej.

W opisie tym trudno by dopatrzeć się obrazu Krakowa, tak bardzo odbiega on od dzisiejszej rzeczywistości tego miasta. A jednak przed stu laty tak właśnie wyglądał Kraków. Nawet dachy Sukiennic i niektórych kościołów pokryte były gontami. Przywozili je całymi wozami górale z Podhala i sprzedawali na targowicy kleparskiej.

POLICJA OGNIOWA

Gdy na ulicach dzisiejszego, nowoczesnego miasta usłyszymy przeciągły zawodzący sygnał, poznajemy od razu, że nadjeżdżają samochody straży pożarnej. Zachowujemy wtedy większą niż zwykle ostrożność, aby nie dostać się pod koła szybko mknących wozów. Poza tym nie zwracamy na tego rodzaju wydarzenia baczniejszej uwagi. Tylko najbardziej roztargnieni zadrżą przez chwilę na myśl, że to oni mogli zostawić w domu niewyłączone żelazko lub maszynkę elektryczną. Mało kto jednak z przechodniów zapyta, gdzie i co się pali, a skoro już dowie się, że wypadek nie dotyczy jego ulicy, spokojnie idzie dalej. Tak dalece jesteśmy przekonani, że dzisiejsza, sprawna i zaopatrzona w nowoczesny sprzęt straż ogniowa da sobie radę z każdym pożarem. Przywykliśmy do uspokajających zwrotów z dziennikarskich kronik miejskich: „ogień stłumiono w zarodku", „pożar zlokalizowano".

Inaczej rzecz się miała w Krakowie połowy ubiegłego wieku. Obrona przed pożarem polegała głównie na samopomocy mieszkańców. Na odgłos dzwonu z wieży mariackiej, którym dawano znać o ukazaniu się ognia, każdy właściciel domu winien był wysłać na zagrożone miejsce swoją służbę, zaopatrzoną w wiadra, osęki, siekiery i drabiny. Cechy rzemieślnicze wyznaczały czeladników do obsługi kilku miejskich sikawek. Wodę mieli dowozić piwowarzy z Wisły i Rudawy. Miasto nie miało bowiem wodociągu, a studnie nie wystarczały na potrzeby obrony przeciwogniowej. Dorożkarze zobowiązani byli wypożyczać konie na czas trwania akcji ratowniczej.

Niestety, mieszkańcy miasta lekceważyli sobie od dawna wszystkie te i tak nie wystarczające zarządzenia. Rzemieślnicy nie stawiali się na ćwiczenia straży, które odrywały ich od zwykłych zajęć zarobkowych. Dorożkarze na odgłos dzwonu pożarnego uježdżali z rynku, co koń wyskoczy. Właściciele domów niechętnie wypożyczali sprzęt do obrony w obawie, że zabraknie go gdy ich posiadłość zostanie zagrożona przez ogień. Sikawki miejskie były stare, zaniedbane, często się psuły, a strumień wody z nich nie sięgał wyższych pięter. W braku dobrego wyposażenia i wyćwiczonej stałej straży pożarnej, obrona była bardzo prymitywna. Zrywano drewniane dachy, zalewano płomień wodą, najczęściej wprost z wiader, podawanych z rąk do rąk przez szeregi ochotników. Ratowano ludzi i co cenniejsze przedmioty, wyrzucając je oknami z zagrożonych mieszkań.

Pomimo jaskrawego lekceważenia najbardziej elementarnych zasad i przepisów bezpieczeństwa ogniowego, mimo gromadzenia w domach i na poddaszach całych składów różnych łatwopalnych materiałów, Kraków przez długie lata miał wyjątkowe szczęście i od czasu konfederacji barskiej nie zaznał większej klęski od ognia. Ówczesny historyk Krakowa, Ambroży Grabowski, dziwił się wielce, że w tych okolicznościach miasto jego nie gorzało regularnie co jakiś czas wraz ze wszystkimi przedmieściami. „Za mojej pamięci" — pisał w swych wspomnieniach z czasów Wolnego Miasta Józef Loui — „nie było przykładu, żeby kiedy więcej zgorzało jak ta jedna kamienica, w której się ogień rozpoczął". Nic też dziwnego, że z biegiem lat coraz bardziej nie doceniano niebezpieczeństwa, a po roku 1846, gdy mieszczaństwo krakowskie po przyłączeniu miasta do Austrii znalazło się w trudnym położeniu materialnym, przestano w ogóle ubezpieczać domy od ognia.

OGIEŃ NA KRUPNIKACH

Nadeszła jednak na koniec straszna chwila, gdy wszystkie dotychczasowe zaniedbania zemścić się miały dotkliwie na mieszkańcach Krakowa. 18 lipca 1850 roku dzień był pogodny i upalny. Około południa na wieży mariackiej uderzono w dzwon na trwogę. Paliły się młyny przy ulicy Krupniczej, zwane dolnymi, położone nad Rudawą, która wówczas jeszcze tamtędy płynęła. Tłum ludzi pospieszył na ratunek zagrożonej dzielnicy. Ogień szerzył się jednak niebywale szybko, przerzucając się na sąsiednie zabudowania. Mimo całego wysiłku w krótkim czasie spłonęło 9 domów. Zdołano ocalić tylko ludzi i niewielką część rzeczy pogorzelców.

GORE ŚRÓDMIEŚCIE

Gdyby ówczesna krakowska straż pożarna była należycie zorganizowana, a mieszkańcy lepiej mieli się na bacz-

ności, całe nieszczęście skończyłoby się na tych kilku drewnianych domkach przedmiejskich. Ale w zamieszaniu wywołanym pożarem i przy oślepiającym, lipcowym słońcu nie zauważono, że tymczasem silny wiatr południowo-zachodni przerzuca w stronę śródmieścia, przez ogrody i Planty, kawałki płonących gontów, papierów, szmat, zwęglone ziarna zboża i orzechy złożone w płonącym młynie i sąsiednich domach. Gdy pożar na Krupnikach już dogasał, a tłum zaczął się rozchodzić do domów, nagle rozeszła się wieść, że płonie drewniany dach kamienicy u zbiegu ulicy Gołębiej i Plant. Rzucono się w tę stronę na pomoc zagrożonemu śródmieściu. Ale mimo wytężonej obrony nie udało się już stłumić szalejącego żywiołu. Ogień ogarnął sąsiednie domy. Z tą chwilą los całej części miasta położonej na linii wiatru był już właściwie przesądzony. Pożar niszczącą falą zalał ulice Gołębią i Wiślną. Przez chwilę płomienie ukazały się na dachu uniwersyteckiego Collegium Maius. Dzielna młodzież akademicka pod dowództwem profesorów Muczkowskiego, Pola i Kuczyńskiego, dzięki swej wielkiej ofiarności i sprawności, zdołała ocalić gmach starożytnej uczelni jagiellońskiej i całą ulicę św. Anny. Lecz po przeciwnej stronie pożar szerzył się niezmiernie szybko. Pochłonął Drukarnię Uniwersytecką i kościół unicki św. Norberta, Szkołę Techniczną, wdarł się do Pałacu Biskupiego, a stąd poprzez szerokość ulicy Franciszkańskiej do kościoła i klasztoru franciszkanów. Obszerne te gmachy spłonęły podobno w kilkanaście minut. „Ten dzień 18 lipca" — pisał w swoich wspomnieniach A. Grabowski — „był prawie dniem sądu Bożego. Dym i płomienie osiadły nad całym miastem i zasłoniły przed wzrokiem całe niebo... Wicher szalał, niosąc palące się głownie, gonty, iskry, zasypując nimi dachy domów... i rozrzucając to zarzewie aż na pola od miasta odległe. Trzask palących się gontów, huk upadających dachów... płacz, krzyk, lament ludzi unoszących w popłochu co kto mógł w nagłości z rzeczy swych pochwycić... wołanie ludzi ratujących: wody! wody!... było to tak okropne, że przechodzi możliwość opowiedzenia lub opisania... i nie wyobrazi sobie tego nikt, kto naocznym nieszczęścia tego nie był świadkiem".

PODPALACZE?

Płomienie ukazywały się co chwila w różnych stronach dzielnicy, nierzadko równocześnie. Przerażenie ogarnęło zaskoczonych i bezbronnych mieszkańców. Po mieście poszły najstraszniejsze wieści. Mówiono coraz głośniej, że miasto zostało podpalone. Zapewniano, że schwytano już kilku podpalaczy, że znaleziono przy nich materiały potrzebne do podłożenia ognia. Zrozpaczony tłum dawał łatwo posłuch wszystkim tym pogłoskom, i omal, że nie dopuścił się samosądu nad kilku podejrzanymi ludźmi. Pod wpływem niedawnych przejść 1846 i 1848 roku uważano pożar za początek jakiejś nowej akcji politycznej. Późniejsze śledztwo wykazało właściwą przyczynę pożaru. Wybuchł on skutkiem nieostrożnego obchodzenia się z ogniem dwóch robotników pracujących we młynie, a wiatr i susza sprzyjały niezwykle gwałtownemu szerzeniu się pożogi. Podpalaczy nie znaleziono, schwytano natomiast złoczyńców, którzy wykorzystując zamieszanie — często pod pozorem niesienia pomocy — kradli co i gdzie się dało, dopuszczając się nawet rabunkowych napadów. Ofiarą takiej brutalnej napaści miała być matka Heleny Modrzejewskiej. Wielka artystka opowiada o tym w swoich wspomnieniach, obejmujących w jej dzieciństwie bombardowanie Krakowa w r. 1848 i wielki pożar roku 1850.

WALKA Z ŻYWIOŁEM

Wysuszone długimi upałami dachy zajmowały się łatwo od niesionego wciąż wiatrem zarzewia. W płomieniach stanęła ulica Bracka i południowa część rynku. W straszliwym żarze topiły się blachy rynien i dachów, dzwony kościelne. Ratunek był już zupełnie niemożliwy. Brakowało sprzętu, a w końcu i ochotników do walki z rozszalałym żywiołem. Z pobliskich miejscowości, nawet z za kordonu granicznego, sprowadzono tamtejsze straże pożarne. Na komorze granicznej w Michałowicach znalazł się jakiś niezwykły urzędnik pełen inicjatywy, który przepuścił wozy straży pożarnych z Królestwa Polskiego „nie czekając rozporządzenia władz wyższych", co z podziwem podkreślano w prasie. Mieszkańców coraz częściej musieli zastępować w akcji ratowniczej żołnierze, policja, Żydzi z Kazimierza i podkrakowscy chłopi. Jednych znużyła już zupełnie długotrwała walka z ogniem, inni, których domy nie były zagrożone, nie kwapili się do ciężkiej i niebezpiecznej pracy. Pomimo wielu wysiłków na linii wiatru zdołano ocalić zaledwie kilka domów. W południowej części rynku ostały się kamienice Wentzlów i Jabłonowskich. Nie zdołano natomiast zapobiec przerzuceniu się ognia na pałac Wielopolskich, w ulicę Grodzką i na plac Dominikański (zwany wówczas ulicą Szeroką). Płomień ogarnął wkrótce kościół św. Trójcy wraz z wieżą, stojącą wówczas jeszcze przed nim, a stąd przeszedł na klasztor w ulicę Stolarską, aż po Mały Rynek. Tu zdołano powstrzymać ogień na linii ulicy Siennej. Po drugiej stronie dzielnicy, dzięki ofiarnym wysiłkom kilkudziesięciu ludzi, powstrzymano falę ognia na skraju ulicy Poselskiej (zwanej wówczas ulicą św. Józefa). Wiatr przerzucił masę płonącego zarzewia raz jeszcze poprzez Planty, pożar pochłonął kilka drewnianych domków rzeźniczych „za Nową Bramą", około późniejszego Wielopola, i strawiwszy wszystko na swej drodze oparł się niemal u koryta Starej Wisły, płynącej wtedy późniejszymi ulicami Dietla i Daszyńskiego.

POŻAR KLEPARZA

Dopiero późnym wieczorem siła wiatru i ognia osłabła. Setki pogorzelców zaległo Planty wśród resztek ocalałego dobytku. Nocą i jeszcze w ciągu kilku następnych dni płomień odradzał się po wielokroć z ogromnego pogorzeliska, lecz szczęśliwie za każdym razem udało się przytłumić wznawiającą się pożogę. Mieszkańcy Krakowa byli już zupełnie pewni, że to nareszcie koniec niebezpieczeństwa i ich wielkiego nieszczęścia.

Nagle 26 lipca wybuchł drugi pożar, tym razem od strony północnej miasta, na Kleparzu. Nad Krakowem zawisło ponownie groźnie niebezpieczeństwo, gdyż właśnie na tym targowym przedmieściu znajdowały się od lat



Panorama wypalonego śródmieścia Krakowa, widziana z dachu kościoła dominikanów, wg. dziewiętnastowiecznego sztychu.

wielkie składy zboża, słomy, spirytusu, smoły i innych łatwopalnych materiałów. Tym razem jednak ratunek był już szybki i skuteczny. Spłonęło tylko 6 domów drewnianych, kilka innych niemal zupełnie rozebrano aby zapobiec rozszerzeniu się ognia. Ocaliło to całą północną część śródmieścia, którą ominęła katastrofa 18 lipca.

NA POGORZELISKU

Klęska była wielka i dotkliwa. Zgorzało przeszło 150 domów mieszkalnych, przeważnie śródmiejskich kamienic, 4 kościoły, 2 klasztory, 2 okazałe pałace. Z dymem poszedł dobytek około 1000 rodzin krakowskich. Spaliło się wiele warsztatów i sklepów. Ogień pochłonął całkowicie Szkołę Techniczną, Drukarnię Uniwersytecką, księgarnię Checha i Friedleina. Ciężką stratą dla kultury miasta i całego kraju był pożar zabytkowych kościołów, gdzie w płomieniach uległo zagładzie wiele cennych dzieł sztuki i pamiątek historycznych, pomników, nagrobków, obrazów, pochodzących po części z średniowiecza. Ogień pochłonął 2 bogate biblioteki klasztorne, zawierające wiele rzadkich starych druków polskich i obcych, a także cenne rękopisy i dokumenty średniowieczne. Silny podmuch wiatru niósł te przetlałe karty daleko za miasto, i znajdowano je później w Wieliczce, a nawet i dalej. Zniszczało szereg cennych zbiorów prywatnych. Spośród ludności 5 osób straciło życie w pożarze, a wiele odniosło rany i oparzenia w czasie akcji ratowniczej.

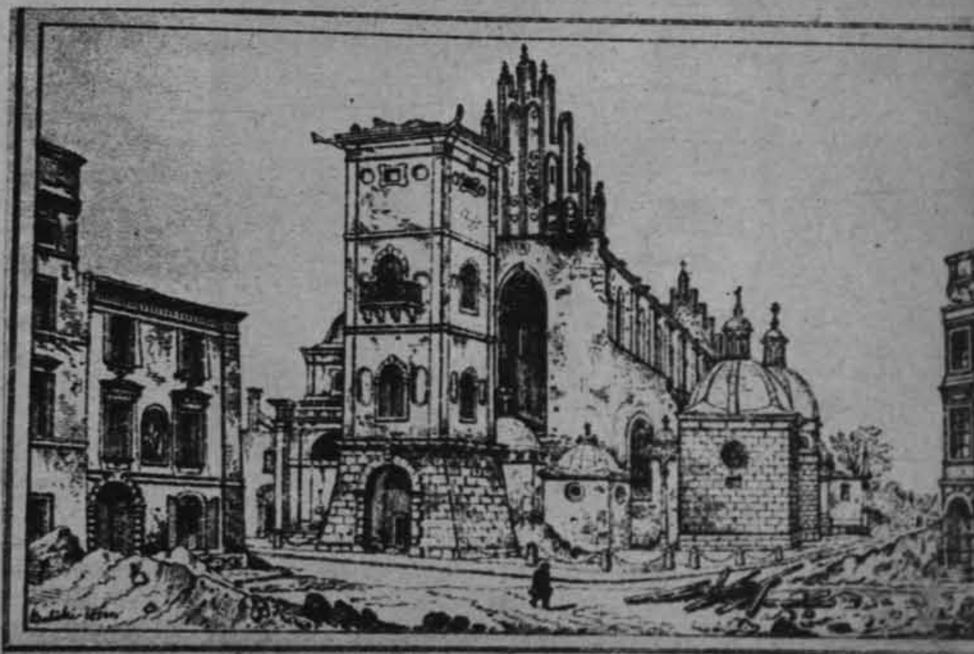
Nic też dziwnego, że pierwsze wrażenie po klęsce było wprost wstrząsające. Nie brakło ludzi twierdzących stanowczo, że spustoszona dzielnica nigdy już nie podniesie się z ruiny. Życie okazało się jednak bardzo szybko silniejsze niż tę początkowe głosy zwątpienia i rozpaczy.

POMOC I ODBUDOWA

Ze wszystkich stron rozdartego zaborami kraju, z emigracji, a także i od cudzoziemców napływały hojne dary na pogorzelców. Umożliwiło to zorganizowanie wydatnej pomocy dla ofiar klęski. Rozdział tych sum był jednak wysoce niesprawiedliwy, najzamożniejsi otrzymali najwięcej. Właściciele domów uzyskali pomoc pieniężną w wysokości blisko 40% wartości spalonych obiektów.

Uzyskana w następnym roku pożyczka państwowa umożliwiła szybką odbudowę pogorzałej dzielnicy. Już w kilka lat po pożarze tylko nieliczne ślady świadczyły jeszcze o niedawnej

Spalony kościół dominikanów wg. litografii wykonanej bezpośrednio po pożarze.





klęsce. Kamienice dźwigały się prędko z ruin, najwcześniej i najokazalej przy Rynku i ulicy Grodzkiej. Korzystając ze sposobności, wprowadzono szereg zmian w budownictwie. Zwrócono baczną uwagę na zabezpieczenie domów przed ogniem, dachy pokryto w znacznej części blachą, dachówką lub łupkiem. Małe kamieniczki łączono często razem, przebudowując je na obszerniejsze domy. Zniesiono wiele dawnych szerokich sieni i bram wjazdowych. Przeprowadzono regulację ulic Grodzkiej i Franciszkańskiej, wyprostowując je i poszerzając.

MĄDRY POLAK PO SZKODZIE

Zreorganizowano także krakowską straż pożarną, zaopatrując ją w lepszy sprzęt techniczny. W kilkanaście lat później (1865) założono stałą straż ochotniczą, następnie (1873) zawodową straż miejską, która zapewnia miastu o wiele większy stopień bezpieczeństwa od ognia, aniżeli dawna „policja ogniowa" w czasie ostatniej wielkiej klęski pożaru 1850 roku.

JULIUSZ DEMEL



U góry: najnowocześniejsza drabina krakowskiej Straży Pożarnej.

Obok: strażak w hełmie z czasów austriackich. Fot. Zbigniew Łagocki.

FRANCISZEK JAKUBOWSKI



POCZHALTERZY I POCZHALTERIE

Do połowy XIX wieku jedyną siłę pociągową stanowił koń. Stąd też sprawa koni była dla instytucji pocztowej jednym z najważniejszych problemów, który można było rozwiązać w dwojaki sposób; albo utrzymywać własne konie, albo też, co oczywiście było wygodniejsze, korzystać z cudzych.

Twórcy poczty nowożytnej, zakładając pierwsze kursy pocztowe, przyjmowali posłańców z końmi, za co płacili im po 8 guldenów miesięcznie. Gdy jednak z rozwojem ruchu pocztowego musieli utrzymywać na stacjach więcej koni, wspomniany sposób już nie zadawalał. Poczęli się więc rozglądać za przedsiębiorcami przewozowymi, którzy by zgodnie z umową dostarczali potrzebnej ilości koni, wozów oraz obsługi. Przedsiębiorców takich nazywano poczhalterami. Nie byli to jednak „utrzymujący pocztę", lecz „utrzymujący konie pocztowe". Łaciński wyraz posta (niemiecki post) w pierwotnym znaczeniu oznaczał nie instytucję, lecz konie rozstawne, jak to czytamy w przywileju Zygmunta Augusta, nadanym Prowanie w roku 1558: „...postam, ut vocant, equos dispositos..." (...pocztę, jak zowią, konie rozstawne..).

Poczhalterzy, o ile nie mogli korzystać z obiektów pocztowych, musieli mieć własne lub wydzierżawione pomieszczenia na poczhalterie (zajazdy), musieli mieć potrzebne stajnie i szopy. Dlatego też na poczhalterów wybierano osoby, które miały gospodarstwo. W dużych miastach, oraz tam, gdzie nie można było znaleźć odpowiedniego przedsiębiorcy, władze pocztowe utrzymywały własne konie, albo zobowiązywały poczmistrzów względnie kierowników stacji pocztowych, poczwerterów, by oni sami, na własny rachunek i z własnymi ludźmi i końmi prowadzili poczhalterie.

Poczhalterzy nie należeli do personelu pocztowego, nie mniej podobnie jak niektórzy oficjaliści, składali kaucje w wysokości rocznych dochodów. Dochód zaś poczhaltera w Królestwie Kongresowym składał się z wpływów za konie, wynajęte dla ekstrapoczt, kurierów i sztafet, (tj. umyślnych posłańców) oraz z opłat za przewóz poczt etatowych, do których zaliczały się poczty osobowe, wozowe, wózkowe i konne. Opłata od konia na milę wynosiła dwa złp. Poczhalterzy wpłacali pewien procent od dochodów swoich na fundusz wysłużonych pocztylionów oraz na rzecz skarbu (15 gr. od każdych 6 złp.).

W rotach przysiąg składanych przez poczhalterów czytamy między innymi: „...szczególnie zaś dla powierzonej mi teraz Poczhalterii w... w należytą i potrzebną liczbę koni dobrych, mocnych i zdrowych opatrzyć się i takowe zawsze utrzymywać przyrzekam; tudzież o poczciwych, pewnych i pijaństwu niepodległych Pocztylionów starać się przez tychże wszelkie jazdy pocztowe, wozowe i konne, jako też odsyłanie Kurierów i Sztafet w należytym porządku pełnić,...". Ponadto poczhalterzy przysięgali, że będą sprawować się, jak przystoi na wiernego i pilnego poczhaltera. Poczhalterowie mieli obowiązek zaopatrywać się w owies na św. Marcina i Boże Narodzenie, zaś w siano w sierpniu lub z początkiem września.

Nadzór nad poczhalterami sprawowali poczmistrze. Mieli oni baczyć, czy środki przewozowe są odpowiednie, czy pocztylioni są przepisowo ubrani, czy ustalony czas przewozu nie jest przekraczany itd. Oprócz tego stałego nadzoru poczmistrz miał obowiązek raz w roku przeprowadzić gruntowną inspekcję poczhalterii, a w szczególności miał sprawdzić liczbę pocztylionów, koni, stan ubioru pocztylionów, stan bryczek pocztowych, uprzęży itd. Również ekspedytorzy (poczwerterzy) mieli obowiązek pilnować poczhalterów i pocztylionów.

W Wolnym Mieście Krakowie przewozu poczty dokonywała poczhalteria, którą odstępowano dyrektorowi poczty. Po śmierci dyrektora wdowie jego zamiast pensji pozostawiono poczhalterię, którą ona z kolei wydzierżawiła komuś innemu. Jednak to odłączenie poczhalterii od zarządu pocztowego źle oddziaływało na ruch pocztowy. Toteż rząd odebrał poczhalterię wdowie, której odtąd wypłacał pensję wdowią, a poczhalterię oddał nowemu dyrektorowi.

Wzory płaszczy pocztylionów Królestwa Polskiego.



DAWNY PIESKI SŁOWNIK MYŚLIWSKI

Zdjęcia: *Wojciech Plewiński i Fr. M. Szczepański.*











...„Różne ma nazwy pies; to gatunkowe jako: brytan, kondel, ogar, chart, gończy wyżeł, jamnik, oijawka. To przymiotowe jako: mistrz (bardzo zręczny), bałamut goniący lada co głosem, bydlarz porywający się do bydła, zapaśnik. łgarz itp. To wedle kształtu, barwy głosu, albo usług jakie pełni: szpilka, pałasz, cygan, płaczek, gęśla, duda, podsokoli strzemienny. Głowa jego jest twarzą, pysk trąbą; zęby u charta szpilki, ogon kitą, powonieniem pach albo wiatr, przymioty cnotą. Odzywanie się goniąc — graniem. Pies spąchiwa, to jest przeczuwa zwierza; rusza; wypędza; goni po zwierzu, po tropie; albo na oko, kiedy gra, spostrzegłszy tylko. Zława — odzywa się, nie widząc zwierza. Zaciera ślad; unosi się, na ślad wybiega, wiatrem goni — tylko za wyziewem zwierzęcia w powietrzu rozlanym. Trzyma, długo goni; ucina, gdy przestaje gonić. Zalewa się, kiedy pysk w rosie macza, dłubie kiedy źle goni. Zbija — jeden drugiego przegania. Wyrzuca — wyprzedza inne. Bucha — w śnieg zapada; kopnął się, kiedy wyskoczył ze śniegu, albo jamy. Pudło (mydło) wozi — z tyłu zostaje. Dociera — dogania. Pracuje, albo już dopracował się — dogonił. Wyżeł waruje, bobruje, na brzuchu kładzie; dzwoni, ogonem macha, mamla — ino oszczekuje zwierzynę; znosi — przynosi z wody. Psy się odzywają różnymi głosami na rozmaitego zwierza, to grubszym, to cieńszym, altem, basem, dyszkantem, drżąco, rzewnie, zapalczywie, albo cukrują, tj. głosem przyjemnym. Na lisa żarliwiej grają jak na zająca, za pierwszym gonią szczurem, tj. linią prostą, za drugim krzywą. Charty się smyczą, gończe sforują, kundle dróżkują. Zgraja, łaja — jest psów gromada; luzem idą, kiedy nie powiązane. Pancerz jest ubiór na piersi zabezpieczający od dzika; pierścień, naszyjnik — kolczata obroża. Wprawa — nauka psom dawana. Odprawą są skoki zajęcze, chleb w kostki krajany, lub inny pokarm dawany psom po uszczuciu zwierzyny. Nawara — pokarm zwyczajny robiony z mąki owsianej z dodaniem chleba, nóżek baranich lub mięsa. Pies w koszyku leży, kiedy w kółko zwinięty wypoczywa. Dobry i zdrowy pies w gorącu rozciągnięty, a w chłodzie w koszyku leży. Kotłowy jest dozorca psów i wprawiający je. Suka po zapłodnieniu przez trzy tygodnie używana być może. Z młodemi bardzo ostrożnie postępować należy, aby nie zarazić, nie osłabić, a zawsze z dobremi psami układać. Psy miewają najrozmaitsze choroby, jako febrę, skwinację, zapalenie gardła, splec — gatunek kurczu z przeziębienia, na który spirytusy rozgrzewające pomagają; podbicie, na które ciepła kąpiel pomocna; parchy — dobra na nie woda z liści orzecha włoskiego wygotowana, albo maść siarczana. Weszkę, którą wycierają prochem strzelniczym. Rany, z których się zwykle same wylizują i stąd nasz sposób mówienia: wylizał się. Wytecz — wykrzywienie nóg. Wścieklizna, krwotok, kaszel, robaki, nosacizna, lecz tu nie miejsce obszerniej się nad tem rozwodzić"...

Wyjątek z rozprawki J. hr. Dunin-Borkowskiego „O polskim języku łowieckim i o świecie łowieckim", zamieszczonej w „Muzeum Domowem", Warszawa 1836 r.

KSIĄŻKI

Brasse Aleksy: Przewodnik po katedrze Gnieźnieńskiej — Poznań 1957, „Albertinum" s. 65, 3 nlb. (Gniezno — katedra — przewodnik.

Dąbrowski Zygmunt: Technika na wycieczkach i obozach — Warszawa 1957, Państw. Zakł. Wydawn. Szkol. s. 102, 2 nlb., ilustr. (Wczasy młodzieżowe i wycieczki — poradnik).

Dziesięć wieków Poznania. (Praca zbiorowa). t. 1. Dzieje społeczno-gospodarcze. s. 344. t. 2. Kultura umysłowa, literatura, teatr i muzyka. s. 311. t. 3. Sztuki plastyczne. s. 349. Muzeum Narodowe w Poznaniu. Poznań, 1956—57. Cena zł 200.

Kowalski Wacław: Dolina wielkich jezior mazurskich. Przewodnik turystyczny. Warszawa, 1957, Sport i Turystyka s. 143, 1 nlb., mapa 1. Cena zł 8.05.

Motty Marceli: Przechadzki po mieście — Warszawa, 1957, Państw. Instytut Wydawn. s. 649, 2 nlb., tabl. 10, portr. 6. Cena t. 1/2 zł 70. (Wielkopolska — pamiętniki — XIX w..)

Nowa Huta, 1: Stefan Nosek: Czasy najdawniejsze — Kraków 1957, Tow. Miłośników Historii i Zabytków Krakowa s. 28, 1 nlb., tabl. 15, mapa 1, pl. 1. (Archeologia).

Popiołek Oswald Stefan: Sprawy i wydarzenia opolskie. Szkic z dziejów ziemi opolskiej — Katowice, 1957, „Śląsk", s. 186, 2 nlb., ilustr. Cena zł 6.

Piskorski Czesław: Na wyspę Wolin. Szlak krajoznawczy Szczecin-Międzyzdroje-Dziwnów. — Warszawa, 1957, Zarz. Gł. PTTK, s. 10, 2nlb., mapa. (Przewodnik).

MAPY

Krygowski Władysław: Bieszczady. Szkicowa mapa szlaków turystycznych. (Lato). Wykonał W. Maculewicz wg materiałów Komisji Turystyki Górskiej ZG PTTK. Skala 1 : 100 000 Warszawa. 1956, Sport i Turystyka. (Na odwrocie mapy: Najważniejsze wiadomości o Bieszczadach; turystyka w Bieszczadach).

Jezioro Śniardwy. Mapa turystyczna. Podziałka 1 : 75 000 Warszawa 1957. Pastw. Przedsiębiorstwo Wydawn. Kartogr. Cena zł 10.

Mapa Polski. Podziałka 1 :500 000 Warszawa. 1957. Centralny Urząd Geodezji i Kartografii Państw. Przedsięb. Wydawn. Kartogr. cm 23,5 X 16,5 s. 133.

Tatry i Pieniny. Mapa turystyczna. Podziałka 1 : 75 000 Warszawa 1957. Państw. Przedsięb. Wydawn. Kartogr. kolor. Cena zł 10. Oprac. Państw. Przedsięb. Wydawn. Kartogr. przy współpracy *Ustredni spravy geodesie a kartografie — Praha.*

Plan miasta Wrocławia. Warszawa 1957. Państw. Przedsięb. Wydawn. Kartogr. kolor. Cena zł 10.

Plany „Trójmiasta": Gdańsk, Nowy Port, Wrzeszcz, Oliwa, Sopot, Gdynia, Orłowo. Mały Kack. Gdańsk, 1957, Polsk. Tow. Turyst. — Kraj. Oddz. „Trójmiasto" cm 14 X 10,5; s. 87, pl. 5. Cena zł 11.

RECENZJE

BÓŹNICE DREWNIANE



Przeglądając karty starannie wydanej książki[1] — trudno powstrzymać się od uczucia głębokiego żalu. Oto, utrwalone w licznych fotografiach i rysunkach okazałe i wymyślne w swych kształtach budowle, będące w wielu wypadkach swojego rodzaju arcydziełami kunsztu ciesielskiego, jednoczące w swym charakterze tradycyjne elementy ludowego budownictwa polskiego z urokiem swoistej egzotyki — już nie istnieją. Ich wnętrza, zdobne bogatą dekoracją kryły niejednokrotnie nie byle jakie skarby sztuki — wszystko to należy już do bezpowrotnej przeszłości.

Specyficzny charakter zabytków żydowskich, ich bogactwo i wartość artystyczną dostrzeżono przed z górą sześćdziesięciu laty; już wtedy sztuka religijna Żydów w Polsce stała się przedmiotem zainteresowań pojedynczych badaczy. Jednakże zasadnicze braki w zestawieniu dorywczo zebranych materiałów nie pozwalały na opracowanie systematyki tematu. Dopiero w latach dwudziestych z inicjatywy profesora Oskara Sosnowskiego, założyciela i kierownika Zakładu Architektury Polskiej Politechniki Warszawskiej, przy wybitnym udziale historyka sztuki Szymona Zajczyka — zapoczątkowana została szeroko zakrojona akcja inwentaryzacji bóżnic w Polsce, obejmująca wykonywanie pomiarów architektonicznych, zdjęć fotograficznych i prowadzenie badań archiwalnych. Prace te przyniosły pokaźne materiały naukowe.

Wojna zadała tej pracy dotkliwe ciosy. W latach 1939—44 nie tylko zginęli jej inicjatorzy, lecz przepadła znaczna część materiałów, przygotowywanych już do publikacji. Równocześnie zniszczeniu uległy wszystkie bóżnice, a z ich wyposażenia zachowały się tu i ówdzie zaledwie nikłe resztki.

Ocalona część materiałów stała się fundamentem dzieła, które w zakresie ograniczonym do architektury bóżnic drewnianych opracowane zostało przez Marię i Kazimierza Piechotków, długoletnich pracowników Zakładu Architektury Polskiej. Książka dzieli się zasadniczo na dwie części: pierwsza zawiera zwięzłe rozdziały dotyczące osadnictwa Żydów w Polsce, zarys ogólnej linii rozwoju architektonicznego bóżnic, wreszcie omówienie zabytków budownictwa drewnianego. Część druga obejmuje uporządkowany alfabetycznie materiał ilustracyjny i krótki katalog wymienionych obiektów.

Specyficzny charakter publikacji, obejmującej wyłącznie dawne materiały, bez możności uzupełnienia nowymi, czy zastąpienia gorszych fotografii lepszymi — wytrącić musi broń z ręki ewentualnych krytyków. Dlatego w tym miejscu ograniczyć się wypadnie do kilku ogólnych uwag. I tak, dobrze się stało, że autorzy przekroczyli granice polityczne, publikując obiekty należące bezsprzecznie do wspólnej grupy. Również w części tekstowej, poszerzenie treści rozprawy o omówienie rozwoju architektonicznego bóżnic, bez ograniczania się do ściśle zakreślonego tematu książki, wyszło z pożytkiem dla czytającego.

„Budownictwo i Architektura" postawiło stronę wydawniczą książki na dobrym poziomie. Odnosi się to także do dobrej techniki druku, w którym nawet niektóre słabsze a potrzebne fotografie archiwalne wypadły zadowalająco. Bezsprzecznym błędem układu graficznego było jednak umieszczenie najlepszych zdjęć (w sześciu przypadkach) na zszytych „rozkładówkach", co po wykonaniu oprawy całkowicie je zniszczyło.



Nieistniejąca już dziś bóżnica drewniana w Rybotyczach (pow. przemyski) wg. fotografii archiwalnej.

Wreszcie, może udałoby się Autorom opublikować jeszcze inne obiekty, których fotografie można było uzyskać. Jako skromny przyczynek zamieszczamy takie właśnie zdjęcie.

Książka „Bóżnice drewniane" to bardzo cenna i bezkonkurencyjna pozycja bibliograficzna, potrzebna nie tylko historykom sztuki czy architektury, lecz każdemu miłośnikowi kultury i zabytków Polski. Obok postulatów wydania dalszych publikacji z problematyki sztuki żydowskiej — dołączyć należałoby życzenie utworzenia wreszcie w naszym kraju Muzeum Sztuki Żydowskiej, którego realizacja jakoś nie może doczekać się urzeczywistnienia.

(MK)

---

[1] Maria i Kazimierz Piechotkowie: Bóżnice drewniane, Warszawa 1957, nakł. Budownictwo i Architektura, cena 90 zł.

KASZËBË

Pojawiło się nowe pismo — „Kaszëbë" — organ Zrzeszenia Kaszubskiego. Pismo znajduje się „in statu nascendi", wychodzi na razie nieregularnie jako wydania specjalne (do września 57 ukazały się dwa numery), ale niebawem już ma być przemienione na tygodnik.

Trudno jest oczywiście przesądzać już dziś, czym pismo to będzie w przyszłości; można natomiast powiedzieć już dziś że zapowiada się ono bardzo ciekawie.

„Kaszëbë" — redagowane w języku polskim, a zamieszczające także artykuły i wiersze pisane dialektem kaszubskim — interesuje się wszystkim, co dotyczy spraw regionu. Historią i ekonomią, obyczajem i sztuką, etnografią i kulturą regionalną. Tym, co było dawniej — i sprawami jak najbardziej aktualnymi.

Po raz pierwszy po ostatniej wojnie usłyszeliśmy niefałszowany głos Kaszubów, mówiących o swojej ziemi i jej sprawach — żywo, trzeźwo i mądrze. Ten głos jest bardzo dla nas cenny. Mamy bowiem wiele niewyrównanych rachunków z mieszkańcami tej ziemi — i nie oni są dłużnikami w owych rozrachunkach. Wystarczy przeczytać chociażby bardzo spokojną i powściągliwą relację T. Bolduana, opisującego w 2-gim n-rze pisma skandaliczne praktyki zmierzające do wyniszczenia ostatka Słowińców na Pomorzu Zachodnim — aby się o tym przekonać. To, czego nie zdołały osiągnąć ani Niemcy Cesarskie, ani Trzecia Rzesza — sprawiły w tym wypadku władze kraju, który powinien być ojczyzną. To jest prawda gorzka, ale należałoby ją powiedzieć: po wielekroć głupota przekraczała granice zwyczajności. Tę „garbatą prawdę" trzeba dziś unieść — i zmieniać.

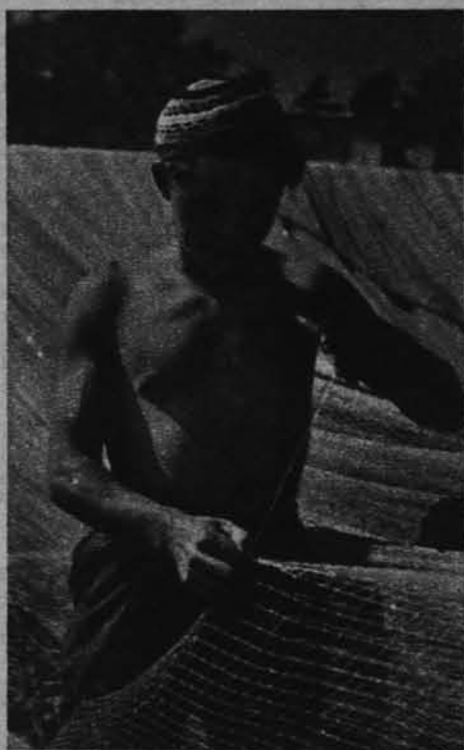
Kaszubi żądają prawa, sprawiedliwości i szacunku. Szacunku dla swoich dziejów, dla swojej kultury, obyczaju i regionalnej odrębności. Żądają także, by wolno im było troszczyć się o siebie, bronić swoich praw, pracować dla kraju i mówić o swojej ziemi. Żądania te są po stokroć słuszne. Jest to jedyna możliwa droga, zmierzająca przy obustronnej dobrej woli i wzajemnym zrozumieniu do wyrównania tych wszystkich krzywd, których rachunek w imieniu swojego plemienia mogliby nam wystawić Derdowski i Majkowski, Budzisz i Karnowski, Abraham i żołnierze kaszubskiego podziemia w czasach okupacji hitlerowskiej. A rachunek ten musi być wyrównany. Przede wszystkim z motywów prostej uczciwości. A także — w imię dobra Ziem Pomorskich i w interesie naszej polskiej wspólnoty.

Witamy z radością powstanie Zrzeszenia Kaszubskiego i jego prasowego organu. Życzymy serdecznie powodzenia w pracy. Wszystkim naszym czytelnikom w kraju i zagranicą polecamy gorąco pismo „Kaszëbë". I podajemy adres jego redakcji: Gdańsk-Oliwa, ul. Grunwaldzka 516.

Miał rację Aleksander Majkowski:

„To nie je na żodnyj planece pisane,
Że zdziną Kaszubë ze świata nieznane,
Że zdmuchną ze zemni nos wrodzi jak plewë,
Że po nos nie bądzie pamniątci, ni spiewë,
Że zdzinie ta mowa jak żdże kole płota"...

Nie, to rzeczywiście nie jest napisane „na żadnej planecie". W miarę naszych możliwości będziemy się o to wspólnie starali.



Fot. W. Zubrzycki

SEKRET RZEŹBIONYCH KLOCKÓW

DOKOŃCZENIE



tych. Niektóre z nich zaopatrywał w datę i podpis.

Czy istnieli w Płazowie jeszcze inni drzeworytnicy, czy też rzemiosło to uprawiał tylko stary Kostrzycki? Kim był Maciej Kostrzycki, skąd pochodził i gdzie zdobył swe umiejętności? Sięgnijmy do źródeł.

Sokołowski[1] podaje, że płazowski proboszcz ks. Stojak miał mu niegdyś na ten temat udzielić następującego wyjaśnienia: „Drzeworytnik był tu jeden tylko, nazwiskiem Maciej Kostrycki, urodzony około r. 1815... Jego syn Maciej... urodzony w r. 1837 zmarł w r. 1899. Z płyt pozostałych po ojcu odbijał on obrazy na papierze w różnych kolorach". Jak widać — informacja skąpa. Może czegoś więcej dowiemy się z miejscowych ksiąg parafialnych? Z kilku z nich — nielicznie zachowanych — wynika jedynie, że już w roku 1858 właściwa pisownia nazwiska brzmiała: Kostrzycki oraz że rodzina była dość liczna, lecz wywodząca się jedynie z dziadków Macieja i Ludwiki z domu Misztalskiej — Kostrzyckich. Jak opowiada stary Michał Kostrzycki, dziadek jego pochodził z Łówczy koło Płazowa lub z miasteczka Cieszanów. W Płazowie pełnił on funkcję kościelnego. Był również miejscowym grabarzem i parał się bednarką. Ziemi nie posiadał. Jak to zazwyczaj bywa z ludowymi artystami, Kostrzycki nie był w Płazowie osobistością „okazałą". Należał raczej do grupy biedaków, zarabiających z konieczności najróżniejszymi sposobami. Jednym z nich było właśnie rzezanie drzeworytów i odbijanie obrazków. Handlował więc Kostrzycki swymi obrazkami, w czym po magała mu żona „kramarka". Nie wiemy niestety czy Kostrzyccy sprzedawali obrazki tylko na miejscu, czy wędrowali z nimi po okolicy. A szkoda, bo rzuciłoby to ciekawe światło na rozchodzenie się tych ludowych dzieł sztuki. Można jedynie stwierdzić, że „zasięgiem" swym obejmował ludowy artysta najbliższe wsie, najczęściej Łówczę i Rudę Różaniecką. W tych okolicach istniał bowiem oryginalny zwyczaj wieszania w stajniach obrazków św. Mikołaja — patrona bydła, tak zwanych „Mikołajków", które produkował Maciej Kostrzycki i sprzedawał, a raczej wymieniał na paszę dla bydła, nie miał bowiem własnych gruntów.

Dawno już zniszczały w chłopskich stajniach nieoprawione w ramki i nieoszklone „Mikołajki" z Płazowa, ale zwyczaj ów żyje jeszcze w pamięci starych mieszkańców tych wiosek. W samym Płazowie jednak istnieje o nich tradycja bardzo nikła. Dziś jedynie 14-letni prawnuk ostatniego drzeworytnika namawia usilnie swego dziadka do odszukania zagubionych klocków.

Ileż zachowało się z tajemniczych klocków? Ile ich w ogóle było?

Rodzina kościelnego twierdzi, że Maciej Kostrzycki junior odziedziczył po ojcu 10 sztuk klocków jednostronnych. Do dziś zachowały się odbitki w zbiorach Muzeum Etnograficznego w Krakowie w ilości 21 desek, w tym 8 dwustronnych czyli łącznie reprezentujących 29 obrazów (24 odbitki opublikowano w Tece Łazarskiego[2] a jedną nową u Sokołowskiego). Piwocki[3] wspomina o znalezieniu w Płazowie około 1900 roku 25 desek drzeworytniczych. Niewątpliwie drzeworyty grupy płazowskiej rozprowadzane były niegdyś w bardzo licznych odbitkach, skoro zachowało się tak dużo desek. Potwierdzałby to również zgromadzony głównie przed rokiem 1841, a dokompletowany w latach 1845—51 zbiór drzeworytów u Pawlikowskich w Medyce koło Przemyśla. Istniała tam bowiem spora ilość odbitek wykazujących cechy grupy płazowskiej.

Gorzej jest z identyfikacją klocków i ich autorstwa. Oprócz oddanych do Zakopanego (obecnie znajdujących się w muzeum w Krakowie) wnuk płazowskiego drzeworytnika miał zatrzymać sobie dwa, a to: najmniejszy, przedstawiający św. Antoniego z Dzieciątkiem oraz drugi z wyobrażeniem św. Mikołaja. Cóż, kiedy klocki te przy rozbieraniu starej chałupy przed rokiem 1914 i przeprowadzce, gdzieś zaginęły. Poszukiwania odbitek z tych klocków w najbliższej okolicy nie dały żadnego rezultatu.

Jerzy Kieszkowski[4] uwzględnia grupę płazowskich drzeworytników i umiejscawia ją w XVIII i XIX wieku.

Istnieje tylko zasadnicze pytanie: Czyżby twórcą wszystkich obrazów był stary Kostrzycki?

Czy Kostrzycki senior, znany jako pierwszy w Płazowie drzeworytnik czynny około 1830 r., był istotnie pierwszym i nauczył się tej techniki gdzieś „w świecie", czy może opierał się na miejscowej tradycji? W takim razie, kim byli jego poprzednicy?

Za drugą hipotezą przemawia fakt, że grupa drzeworytów płazowskich, jedna z najbardziej u nas wartościowych artystycznie, wykazuje dość duże zróżnicowanie formalne i techniczne. Wystarczy tu porównać niepodpisany obrazek św. Jerzego (na rewersie „Ostatnia Wieczerza" datowana „183...") z drzeworytami z tego samego okresu podpisanymi przez Kostrzyckiego. Różnią się one zarówno w kompozycji jak i technice cięcia wyraźnie na niekorzyść drugiego, który nie osiąga ani tak wytwornej kompozycji ani też do tego stopnia pewnych i płynnych linii. Poza tym są jeszcze inne znane odbitki też nieco różne w charakterze od powyższych, a podpisane „W.S.K.", „W.K.S." i „P". A więc były to chyba jednak dzieła różnych rąk i nie koniecznie współcześnie czynnych.

Kim byli ci nieznani artyści górujący swymi umiejętnościami nad ostatnim twórcą „Mikołajków"?

Definitywne ustalenie tych spraw jest niestety prawie niemożliwe. Przekazy ustne nie sięgają tak daleko, a źródła pisane są pod tym względem więcej niż skąpe.

Mamy w zapiskach parafialnych z połowy XVIII wieku jedną jedyną wzmiankę o obraźniku, lecz nie wiadomo czy dotyczy ona w ogóle drzeworytów: „...przeszedł razem z gromadą do mnie w jednym chodaką, a drugą nogą bosą czyli chostą, czyli onuczką zawiniętą, pytałem go się czyli drugiego niemasz, iż tak chodzisz — odpowiedział, Mości Dobrodzieu coświniem był Osyp do Dworu Exekucya Dworska poty stała pokim cztered szelągów nieoddał, przedawszy swoy chodak temu co z obrazami chodzi po wsi..."

Ciekawe, komu i kiedy dane będzie głębiej dotrzeć do tajemnic osobliwości „miasta Płazonium"?

[1] M. Sokołowski: Drzeworytnictwo u nas Spraw. Kom. Hist. Sztuki, t. VII r. 1903.

[2] Z. Łazarski: Teka drzeworytów ludowych dawnych. Warszawa (1921).

[3] Ksawery Piwocki: Drzeworyt ludowy w Polsce. Warszawa 1934.

[4] J. Kieszkowski: Zwięzły katalog dawnych drzeworytów ludowych Warszawa 1921.

Ponadto w niniejszej pracy autorka publikuje po raz pierwszy wyniki własnych badań terenowych przeprowadzonych dla Państw. Instytutu Sztuki.

KRAJOZNAWSTWO ZA GRANICĄ



Lord Baden-Powell of Gilwell, wg. portretu Dawida Jaggera.

W sierpniu tego roku minęło 50 lat od chwili gdy gen. Robert Baden-Powell wybrał się z dwudziestoma chłopcami na obóz wakacyjny. Było to na niewielkiej wyspie Brownsea w pobliżu wybrzeży brytyjskich. W tymże roku generał opublikował swój słynny później podręcznik „Scouting For Boys" i taki był początek ruchu skautowego. Nic więc dziwnego, że tegoroczny międzynarodowy jamboree miał specjalnie uroczysty charakter. Święcono złoty jubileusz światowego skautingu. O kilka mil od Birmingham (Anglia) w miejscowości Sutton Park stanął wielki obóz skautowski, w którym od 1 do 12 sierpnia zamieszkało 35 tys. skautów z całego świata, reprezentujących 12 milionów chłopców i dziewcząt z pięciu kontynentów. Miasteczko namiotów podzielono na szereg części przy czym każda z nich nosiła nazwę jednego z poprzednich jamboree. Jak to zazwyczaj bywa na tego rodzaju imprezach, miasteczko wyposażone było we własne urzędy pocztowe, kaplice, banki, ekrany telewizyjne, szpital a także osobną radiostację krótkofalową. Tegoroczny jamboree był podwójnym jubileuszem. Oto bowiem w tym roku również mija 100 lat od urodzenia twórcy ruchu skautowskiego — Roberta Baden-Powella.

Jak więc widzimy rok obecny szczególnie obfitował w międzynarodowe spotkania młodzieży różnych krajów i narodów.

(Z)

Obecny komendant skautów Brytyjskiej Wspólnoty Narodów lord Rowellan wśród międzynarodowej grupy skautów.



W tym roku ukazał się w W. Brytanii przewodnik po londyńskich restauracjach. Informuje on szczegółowo przybywających gdzie, co i w jakiej cenie można zjeść w stolicy, począwszy od najbardziej luksusowych lokali a skończywszy na skromnych, tanich jadłodajniach. Autorzy (jest to bowiem praca zbiorowa) uwzględnili również gusta cudzoziemskich smakoszów. Podają oni bowiem wykaz restauracji, w których dania przyrządzane są według recept zagranicznych kuchni. Przy omówieniu każdej restauracji widnieje również nazwisko właściciela zakładu lub głównego kelnera.

(Z)

Najstarsze miasto w Stanach Zjednoczonych liczy około 400 lat. Jest nim miejscowość St. Augustine na Florydzie. Tu w roku 1513 wylądował wraz ze swą ekspedycją hiszpański wódz Ponce de Leon ruszając na poszukiwanie legendarnego Źródła Młodości. W pięćdziesiąt lat później Hiszpanie zakładają w tym miejscu nadmorską fortecę, która miała strzec im przechodzących tędy morskich szlaków komunikacyjnych. Osada napadana przez admirała Drake, antylskich piratów i miejscowych Indian, płonęła w ciągu swych dziejów kilka razy. Tym nie mniej do dnia dzisiejszego przetrwały tu dawne fortyfikacje i zabytkowa dzielnica hiszpańska, to też co roku przybywa do St. Augustine 400-tysięczna rzesza turystów. (L)



Powyżej: obraz Surikowa „Ujarzmienie Sybiru".

PODBÓJ SYBIRU

Na podstawie materiałów nadesłanych „Ziemi" przez Muzeum Krajoznawcze w Błagowieszczeńsku opracowała: HELENA BURCHARD

Dzieje wypraw odkrywczych to chyba jeden z najbardziej pasjonujących tematów. Pierwszeństwo mają tu zazwyczaj dzieje odkrycia państw środkowej i południowej Ameryki, niepokojące tajemnicami Inków i Azteków, lśniące blaskiem setek kilogramów złota, składanego Hiszpanom jako okup za Atahualpę. Ale z równym zainteresowaniem czytujemy o wyprawach w głąb puszcz kanadyjskich i śnieżnych „barren" mimo, że nie przyniosły one tak olbrzymich łupów swym odkrywcom. Z zapartym tchem już od najmłodszych lat śledziliśmy opisywane w licznych powieściach przygody pionierów północnoamerykańskiej arktyki. Począwszy od pierwszych „coureurs du bois" z czasów Jacques Cartier i Montcalma, poprzez brodatych traperów i poszukiwaczy złota z powieści Londona i Curwooda, a skończywszy na ludziach z „Kanady pachnącej żywicą". Tymczasem tuż po drugiej stronie cieśniny Beringa rozciąga się olbrzymi kraj pod względem geograficznym tak bardzo zbliżony do Kanady, a jednocześnie jakże w porównaniu z nią mało spopularyzowany w literaturze światowej.

Podobnie jak w Ameryce podbiła go garstka zuchwalców, walcząc nie tylko z krajowcami ale i z dziewiczą przyrodą, o setki kilometrów od ostatnich placówek cywilizowanego świata. Podbito go dla odległego despoty, który następnie przez wiele lat uczynił zeń więzienie dla swych przeciwników i miejsce zsyłki dla swych sług popadłych w niełaskę. Sybir — kraj olbrzymich bogactw mineralnych i dziewiczej przyrody — był przez szereg pokoleń dla narodów Europy środkowo-wschodniej nazwą o zupełnie innym znaczeniu. I administratorom tej krainy wcale nie zależało na popularyzacji jej wśród narodów świata. Nie było się czym chwalić. To też dziś, o ile już dość dawno zdążyliśmy się oswoić z dziejami podbojów Peru, Meksyku lub Kanady, o tyle o podboju Syberii czytamy jak o czymś bardzo mało znanym. Mimo, że wszystko to stało się tak dawno.

W tym konkretnym wypadku mamy do czynienia z historią siedemnastowiecznego podboju nadamurskiego kraju, w południowo-wschodniej Syberii. Dziejami tego podboju zajmuje się G. S. Nowikow — Daurskij w drugim tomie „Notatek" wydawanych przez okręgowe amurskie muzeum krajoznawcze w Błagowieszczeńsku i miejscowe krajoznawcze towarzystwo. Amurskie towarzystwo krajoznawcze istniało w tym mieście już w okresie międzywojennym, wydając szereg publikacji. Tom „Notatek" w którym Nowikow-Daurskij zamieszcza swój artykuł, ukazał się w roku 1953. Artykuł ten omawiający niestety tylko pierwszy etap podboju ziem nadamurskich przez Rosję, jest jednak i tak niezmiernie ciekawym przyczynkiem do historii zdobycia tych owianych złowrogą egzotyką obszarów.

Wiadomość o istnieniu rzeki Amur powzięli syberyjscy kozacy od tubylczych myśliwych napotkanych nad morzem Ochockim. Tubylcy nazywali tę rzekę Szylkar. Nazwa „Amur" używana obecnie pochodzi od słowa „amar", oznaczającego w języku Ewenków ujście rzeki, którą to nazwę, nie rozumiejąc jej dokładnie Chabarow uznał za imię własne i rozciągnął na cały bieg rzeki. Pierwsze wysyłane celem odszukania jej ekspedycje nie osiągnęły rezultatu.

PIERWSZA WYPRAWA

Osiągnęła go dopiero wyprawa wysłana w 1643 roku przez wojewodę jakuckiego Gołowina pod wodzą Wasyla Daniłowicza Pojarkowa. Oddział Pojarkowa składał się ze 127 ludzi, w tym 112 kozaków. Wyprawa wyruszyła z Jakucka dnia 15(26) lipca łodziami w dół Leny, a następnie w górę rzeki Ałdan i jej dopływów. Droga była ciężka. Łodzie trzeba było ciągnąć na linach pod prąd przez kraj nieznany i niezamieszkały. Szczególnie trudno było na rzece Gonam, gdzie trzeba było przebyć czterdzieści dwa porohy i dwadzieścia dwa razy przeciągnąć łodzie brzegiem. Wreszcie wyprawę zatrzymały na rzece mróz i lód. Pojarkow w postawionej tu budowli pozostawił na przezimowanie część oddziału pod wodzą Patrikeja Minina, a sam z 90 ludźmi ruszył na nartach. Bagaże ciągnęli na sankach. Po trzech tygodniach, przeszedłszy w głębokich śniegach łańcuch górski, dotarł do rzeki Brianty, dopływu Zei. Po lodzie doszli do Zei i idąc dalej wzdłuż tej rzeki dotarli do pierwszej osady tubylców — Daurów, gdzie postanowili przezimować. Zapasy żywności rychło się skończyły. Daurowie mieli ich też niewiele. Głodowali więc Kozacy żywiąc się korą sosnową i korzeniami, wygrzebywanymi z pod śniegu. Oddział Minina, który nadszedł wczesną wiosną 1644 r. zastał ich przy życiu tylko czterdziestu. Po spłynięciu lodów ekspedycja ruszyła łodziami w dół Zei, a następnie Amurem (który Pojarkow w swoich relacjach nazywa Szylkarem). Po dwu i pół miesiącach podróży ekspedycja dotarła do ujścia Amuru, gdzie przebyła zimę 1644—1645 zbierając daninę od Giljaków — skórki soboli. Z początkiem lata kozacy wyruszyli morzem Ochockim i po trzymiesięcznej żegludze dotarli do ujścia rzeki Ul, gdzie spędzili następną zimę. Z wiosną 1646 r. Pojarkow pozostawiając część ludzi u ujścia Ul dla zbierania daniny, z resztą ruszył do Jakucka, dokąd przybył w połowie lipca. Ze 132 ludzi, którzy wyruszyli na wyprawę, przeżyło ją 53.

Pojarkow prócz zebranych danin i trzech przywiezionych Giljaków złożył wojewodom opis i szkic przebytej drogi. Był to pierwszy znany w Europie opis tych terenów.

FORT AŁBAZIN

Przez kilka lat wojewodowie nie przedsiębrali żadnych wypraw w nowoodkryte tereny. Dopiero w 1649 r. zorganizował taką wyprawę wojewoda jakucki Francbekow z inicjatywy i pod wodzą Jerofiewa Pawłowicza Chabarowa. Wybrał on inną drogę — w górę Olekmy i Tungiru, a następnie, przeszedłszy w zimie przez łańcuch górski Stanowoj, rzeką Ur do Amuru. Dotarłszy do terenów zamieszkałych przez Daurów Chabarow wybrał sobie na rezydencję gródek tubylczy Jaksa, nazwany później przez Rosjan Ałbazin. Wobec tego, że układy z tubylcami szły oporne, a oddział Chabarowa był zbyt słaby liczebnie (70 ludzi), aby przedsięwziąć jakąś akcję, umocnił on gródek pozostawiając w nim 50 ludzi załogi, a sam z resztą wrócił do Jakucka po pomoc.

Drugą wyprawę Chabarow rozpoczął 9(20) lipca 1650 r., prowadząc z sobą 137 ludzi i trzy armaty. Połączywszy się z pozostawionymi poprzednio towarzyszami, którzy w międzyczasie rozpoczęli walki z tubylcami, Chabarow pobił kilkakrotnie Daurów i przezimował w Ałbazinie. Z początkiem czerwca 1651 r. ruszył w dół Amuru na łodziach, walcząc po drodze z Daurami, zdobywając ich gródki i zbierając daniny. W październiku zatrzymał się na zimę w dużym osiedlu poniżej ujścia Ussuri, stawiając małą warownię, w której bronił się przed atakami tubylców — Aczanów i Diuczerów. Wreszcie tubylcy zwrócili się o pomoc do władz mandżurskich, którym płacili dotychczas daniny. 24 marca (4 kwietnia) 2000 Mandżurów zaopatrzonych w 6 armat, 30 strzelb i kilka glinianych petard do wysadzania wałów obronnych obległo gródek. Wobec energicznej obrony Mandżurowie cofnęli się, ale Chabarow, obawiając się ich przewagi liczebnej 22 kwietnia (3 maja) 1652 r. popłynął w górę Amuru. Kozacy ciągnęli statki na linach, a przy pomyślnym wietrze rozpinali żagle. Spotkawszy się przy przełomie rzeki w górach Chingan z idącym mu na spotkanie oddziałem Czeczigina, przezimował i w maju 1653 r. ruszył dalej w górę rzeki. U ujścia Zei spotkał Dymitra Zinowjewa wysłanego przez cara dla zbadania stosunków w Ziemi Daurskiej. Po czterech tygodniach spędzonych nad Amurem Zinowjew ruszył zpowrotem do Moskwy, zabierając z sobą Chabarowa, na miejscu którego pozostawił niejakiego Stiepanowa. Stiepanow i inni dowódcy wysyłani przez wojewodów jenisejskiego i jakuckiego, krążyli po terenach nadamurskich zbierając daniny i walcząc z Daurami i występującymi coraz energiczniej Mandżurami do roku 1659, kiedy ostatni kozacy wycofali się do Nerczyńska.

Dopiero w 1655 r. wyprawił się nad Amur z oddziałem kozaków Nikifor Romanowicz Czernigowskij. Odbudowawszy gródek w Ałbazinie osiedli tutaj uprawiając ziemię i gromadząc coraz więcej osadników. Czernigowskij nawiązał kontakt z Moskwą i w r. 1672 został mianowany pisarzem osady w Ałbazinie, a zarządcą jej — przysłany z Tobolska Iwan Oskołkow. Życie normowało się, powstawały nowe osady i gródki. W r. 1682 Moskwa utworzyła w Ałrzyła w Ałbazinie województwo: pierwszym wojewodą został setnik Aleksy Tołbuzin.

CHIŃCZYCY PISZĄ PO POLSKU

Wkrótce po tym Tołbuzin otrzymał pismo od cesarza chińskiego Kan-si z żądaniem wycofania się Rosjan z nad Amuru. Pismo przetłumaczono na język rosyjski i wojewoda odczytał go kozakom. Postanowili się bronić. W ciągu tegoż jeszcze roku (1682) ewakuowano mniejsze gródki i osady.

24 marca 1864 r. w Ałbazinie otrzymano pismo od cesarza chińskiego z żądaniem poddania się, napisane w trzech językach: po mandżursku, mongolsku i po polsku (!).

W czerwcu tegoż roku pod Ałbazin podeszło wojsko mandżurskie, ale wziąwszy w niewolę 30 kozaków znajdujących się poza obrębem forteczki, cofnęło się. Jeńców odesłano do Pekinu.

Tołbuzin wysłał listy z prośbą o pomoc do Moskwy, Nerczyńska, Jenisejska i Tobolska. W Nerczyńsku nie było wojska... Z Moskwy wysłano pułkownika Bejtona z wojskiem i artylerią, ale tymczasem w czerwcu 1685 r. wojska chińsko-mandżurskie rozpoczęły oblężenie. Po wyczerpaniu się zapasu żywności i amunicji i stracie przeszło stu ludzi z 450 obrońców, Tołbuzin nawiązał rokowania z chińskim dowódcą Lang-Tu.

DRUGIE OBLĘŻENIE

23 czerwca (4 lipca) rosyjska załoga opuściła Ałbazin. Po dwu dniach drogi napotkali Rosjanie wysłany im na pomoc z Nerczyńska oddział stu ludzi, a w Nerczyńsku zastali Bejtona z jego pułkiem. Po stwierdzeniu przez oddział zwiadowczy, że wojska chińsko-mandżurskie zniszczywszy Ałbazin wycofały się, Tołbuzin i Bejton z oddziałem 677 ludzi, z pięciu miedzianymi i trzema żelaznymi armatami ruszyli napowrót do Ałbazina.

W lipcu 1686 r. rozpoczęło się drugie oblężenie odbudowanej forteczki. Wojska mandżurskie okrążywszy gródek otoczyły swoje pozycje częstokołem i wałem świeżo zrąbanych drzew. Kozacy częstokół spalili, strzelając do niego rozpalonymi kulami, a wał z drzew wysadzili w powietrze przy pomocy podkopu. Wtedy Mandżurowie usypali wokół gródka wał ziemny, na którym ustawili armaty. Gródek bronił się dzielnie mimo szerzącego się wśród załogi szkorbutu. We wrześniu 1686 r. poległ Tołbuzin; dowództwo po nim objął Bejton. W listopadzie 1687 r. załoga gródka liczyła już tylko 150 obrońców. W maju 1688 r., kiedy armia oblężnicza odstąpiła od Ałbazina na 6 km, pozwalając obrońcom nawiązać łączność ze światem, pozostało ich zaledwie 66.

Dowództwo chińskie zaproponowało przysłanie swoich lekarzy do forteczki i prosiło o podanie liczby chorych. Bejton odpowiedział, że jego żołnierze są zdrowi i niczego im nie brak, a na dodatek tego posłał wodzowi chińskiemu „pieróg wagi jednego puda".

ROKOWANIA I ODWRÓT

Wreszcie 30 sierpnia (10 września) 1688 r. armia mandżurska otrzymała rozkaz wycofania się do twierdzy Ajgun, wobec nawiązania rokowań pokojowych między Moskwą a Chinami.

Propozycja rokowań wyszła od Moskwy. Do prowadzenia rozmów wysłany został Fiodor Aleksiewicz Gołowin, wojewoda nerczyński Iwan Astafjewicz Własow i djak Siemion Kornickij ze świtą. Towarzyszył im pułk strzelców liczący 500 ludzi, drugi pułk zwerbowany w drodze przez Syberię oraz 600 dragonów.

Poselstwo chińskie przybyło do Nerczyńska 21 lipca (1 sierpnia) 1689 r. i rozbiło namioty na łące pod miastem. Towarzyszyła mu armia 15000. Funkcje tłumaczy przy poselstwie pełnili dwaj jezuici — Franciszek Gerbillon i Tomasz Pereira. Gołowin znał język chiński, co ułatwiało porozumienie między poselstwem.

Chińczycy żądali wycofania się Rosjan z kraju Amurskiego i oznaczenia granicy wzdłuż Bajkału i Leny. Gołowin proponował jako granicę Amur. Spór trwał trzy dni, aż zniecierpliwieni Chińczycy posunęli wojska w stronę miasta. W tej sytuacji Gołowin zmuszony był ustąpić.

27 sierpnia (7 września) 1689 r. podpisano pokój, ustalający granicę między Rosją i Chinami wzdłuż rzeki Arguni, Szyłki i Gorbicy. Ze strony rosyjskiej podpisali go Gołowin, Własow i Kornickij, ze strony chińskiej — Sangotu, dowódca wojsk stacjonowanych poza Wielkim Murem, wuj cesarza Tu Gu-chan i dowódca wojskowy Lang-Tan.

28 sierpnia (8 września) posłowie składali sobie nawzajem podarki, a następnego dnia Chińczycy wyruszyli w drogę powrotną. Po drodze spalili fortyfikacje Ałbazina, opuszczonego przez załogę Bejtona, powracającą do Nerczyńska.

Tak zakończył się pierwszy etap podboju ziem nadamurskich przez Rosję.

KATASTROFA „NINO CLAUDIO"

Kilka lat temu w jednym z francuskich sądów odbył się niezwykły proces. Na ławie oskarżonych zasiadła grupa mieszkańców nadmorskiej wioski bretońskiej Brignogan a stroną poszkodowaną był niejaki kapitan Chiesa, dowódca włoskiego frachtowca „Nino Claudio". W czasie katastrofy tego statku u wybrzeży Brignogan owa grupa bretońskich wieśniaków wyratowała kapitana wraz z załogą, a jednak Włoch pozwał następnie swych ratowników do sądu.

...Od dwu dni włoski statek handlowy „Nino Claudio" o wyporności 3 tys. ton, zarejestrowany w Genui i wiozący smołę i koks z Rotterdamu na Sardynię, płynął we mgle. Aż wreszcie mijając wybrzeża Bretanii roztrzaskał się na skałach Brignogan. Kapitan i zarazem właściciel statku uznał „Nino Claudio" za stracony i opuścił wraz z załogą pokład. Równocześnie wołania o pomoc z włoskiego frachtowca usłyszeli mieszkańcy nadbrzeżnej wioski i mimo wzburzonego morza wyruszyli na ratunek rozbitkom. Dzielni Bretończycy szybko i sprawnie przetransportowali kapitana wraz z załogą na brzeg, a następnie... jeszcze szybciej powrócili na tonący statek, aby go ogołocić z ładunku oraz wszelkich mających jakąkolwiek wartość sprzętów. Szarańczę tę prowadził kaleka François Coradac, słynny na całą okolicę wioślarz i „poławiacz towarów". W myśl hasła „kto nie ryzykuje ten nic nie ma" wdarli się ludzie Coradaca na pokład mimo iż burzowa fala zmywała go raz po raz a wrak w każdej chwili groził pęknięciem na dwoje. Tym razem jednak Coradac się spóźnił. Na pokładzie bowiem działał już ze swym zespołem jego rywal, niejaki Louis Kamaneur, który — jak sam o sobie mówi — jest „najlepszym przyjacielem rozbitków a najgorszym wrogiem urzędu celnego". W ciągu kilku godzin statek ograbiono z instrumentów, stołów, krzeseł, dzwonków, śrub, zamków, lamp i lin. Bezsilnym świadkiem tej akcji był kapitan Chiesa, obserwujący rabunek z brzegu.

Tego rodzaju proceder uprawiają od setek lat mieszkańcy wielu miejscowości skalistej Bretanii. Ci odważni żeglarze spieszą chętnie na pomoc rozbitkom — zwłaszcza jeżeli statek wiózł cenny ładunek. Podobne zresztą źródło dochodu wynajdowali sobie ongiś i ich północni sąsiedzi z kornwalijskich wybrzeży, zwabiając nawet statki na rafy zapaleniem fałszywych latarni morskich w burzliwe noce. Praktyki owe jednak nie znajdowały nigdy właściwego zrozumienia u władz, toteż i rybaków z Brignogan skazano na zapłacenie grzywny. „Poławiacze" grzywnę zapłacili nie oddając zresztą łupu.

Dziś mieszkańcy Brignogan niechętnie wspominają epizod z „Nino Claudio". Powodem tego zresztą wcale nie jest ów proces. Oto ktoś puścił plotkę jakoby na pokładzie włoskiego frachtowca ukryte były klejnoty. I Bretończycy martwią się że przeoczyli największą okazję.

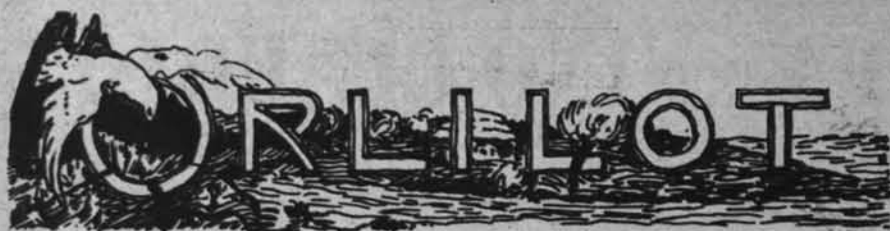
(L)

Obok: François Coradac daje sowim ludziom sygnał do ataku. Niżej: rybacy z Brignogan wdzierają się na pokład tonącego „Nino Claudio". U dołu: łodzie bretończyków zbliżają się do włoskiego frachtowca. Zdjęcia: Picture Post.









DZIAŁ MŁODYCH KRAJOZNAWCÓW

NA TROPACH MALOWANYCH KAFLI

Najłatwiej skopiować malowany kafel przykładając doń (po uprzednim oczyszczeniu wilgotną szmatką) mokrą bibułkę. Widniejące pod nią kontury malowidła przerysowujemy następnie kopiowym ołówkiem. Po wysuszeniu bibułki należy kredkami zaznaczyć na konturowym rysunku właściwe oryginalnemu kaflowi kolory.

O znalezionych kaflach powinno się zebrać na miejscu możliwie jak najwięcej danych. Wiadomości o odkryciach należy przekazywać najbliższemu muzeum. Ponadto zarówno rysunki nowoodkrytych kafli jak i zebrane o nich w terenie materiały informacyjne będziemy chętnie publikować na łamach ZIEMI, uwzględniając oczywiście prawa autorskie odkrywców.

Już miałem wyjść z chałupy kiedy uprzejmy gospodarz nagle coś sobie przypomniał. Posługując się mieszaniną polskich i niemieckich słów, pomagając sobie gestami usiłował mnie nakłonić abym zajrzał w wąską niszę poza dużym piecem kuchennym. Zajrzałem i przy blasku zakopconej lampy naftowej podtrzymywanej przez starego Warmiaka zobaczyłem je po raz pierwszy w życiu. W zakurzonej i zasnutej pajęczynami ścianie pieca tkwiła seria jasnozielonych kafli. Dziwne to były kafle. Każdy z nich stanowił odrębny obrazek, wymalowany bardzo starannie choć z rozbrajającą naiwnością. Tu pośród kwiatów maszerował z długą strzelbą w ręku myśliwy we fraczku z galonami, obcisłych pluderkach i butach z wywijaną cholewą, takich akurat jakie nosi „Johnny Walker" — gentleman Anglii księcia Regenta z reklam szkockiej whisky. Wyżej kobieta w szerokiej staroświeckiej spódnicy dźwigała wodę w kubłach, a obok galopował na koniu jeździec w stroju barona Münchhausena. Nie! W ten sposób napewno nie noszono się tu ani w czasach młodości mego gospodarza, ani nawet wtedy gdy w tym starym obszernym domostwie gospodarował jego dziadek. Mimo, że dotychczas znałem je tylko z ilustracji i opowiadań, byłem pewien: znalazłem nowe okazy mazursko-warmijskich kafli ludowych, tak gorliwie poszukiwanych przez miejscowe muzea.

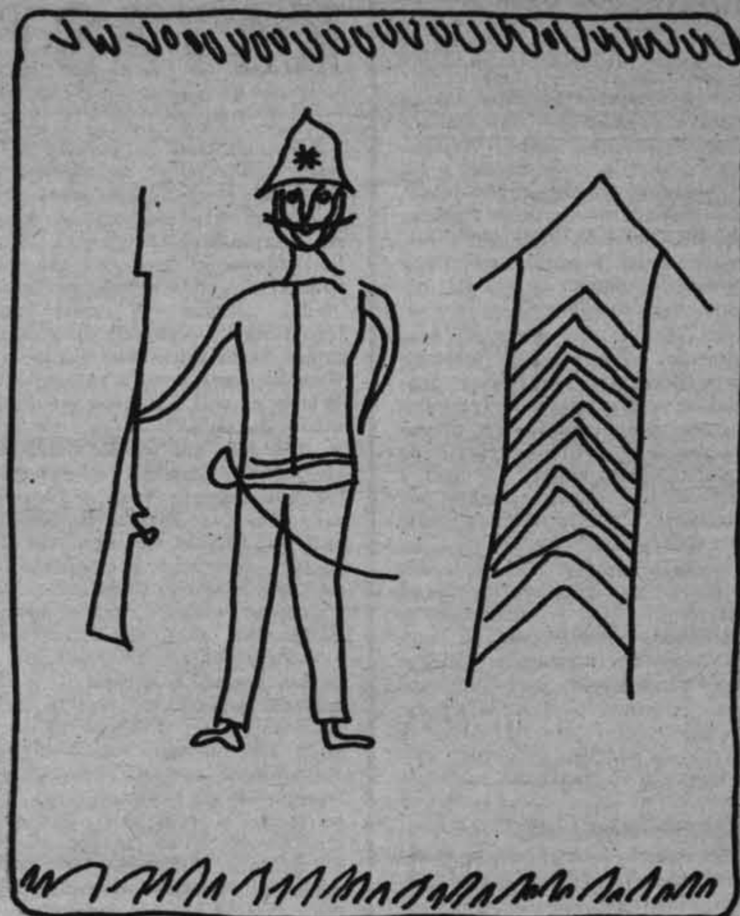
SKĄD SIĘ TO WZIĘŁO?

Wszystko zaczęło się dawno, bo w XVII wieku, kiedy z Holandii przybywają przez Gdańsk do Polski pierwsze kafle malowane w misterne wiatraczki, sielskie krajobrazy i liryczne scenki. Piece z takich kafli stały się niebawem ostatnim krzykiem ówczesnej mody zdobiąc pałace ziemian i mieszkania bogatego mieszczaństwa. A zapotrzebowanie rosło. Już i w Gdańsku powstała manufaktura kaflarska.

Urokowi malowanych pieców nie oparli się i mazurscy chłopi, choć należy przypuszczać, że na taki wydatek pozwolić sobie mogli chyba tylko zamożniejsi mieszkańcy wiosek. W każdym razie wszędzie na ogół tam gdzie dziś natrafiamy na zabytki ludowego kaflarstwa, miejscowa tradycja wiąże je z bogatymi wielohektarowymi zagrodami tzw. gburów. Kafle z wielkomiejskich manufaktur nawet dla nich musiały być za drogie. Zresztą po co mozolnie transportować wozem kafle z odległego miasta, skoro zrobi je zdun z pobliskiego miasteczka? Może nie będą takie piękne jak tamte, ale chyba tańsze i łatwiej dostępne. Garncarze z małych miasteczek mazurskich i warmijskich robili kafle niby na wzór holenderskich i gdańskich ale jakże od nich różne! I malowidło było nakreślone drżącą, mniej wprawną ręką i temat inny. Bo też mazurskiego zduna niejednokrotnie ponosiła fantazja i malował na swych kaflach scenki z otaczającej go rzeczywistości lub zgoła to co podyktowała mu wyobraźnia. Nad kuflami pochylali się pijący, wójt rozstrzygał chłopskie spory, przed budkami prężyli się pruscy wartownicy a tu i ówdzie — jak choćby na tych kaflach, które znaleźliśmy parę lat temu w Tylkowie — pod drzewami czaił się dziki zwierz.

„JEDZIE MOSKAL..."

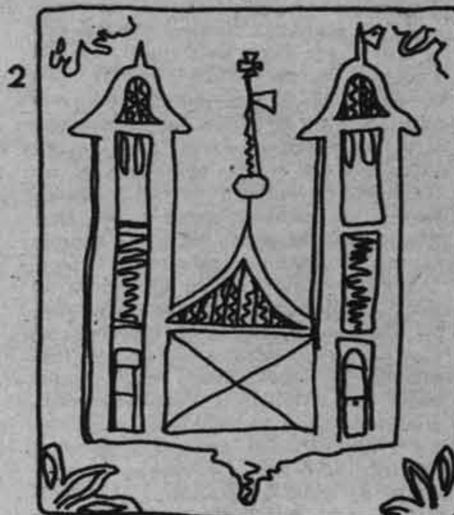
Tam, gdzie zdaniem kaflarza sam rysunek był zbyt mało zrozumiały, rzemieślnik uzupełniał go wyskrobanym napisem. Krzywe i koślawe litery układają się w sentencje, wypowiedziane w owej dziwnej i może nieco śmiesznie dla nieprzywykłego przybysza brzmiącej polskiej gwarze tych obszarów. Takiej jaką dziś słyszymy tu z ust starych wieśniaków. „Jedzie Moskal z sucharani za nim Prusak z kartoflani" — czytamy pod wizerunkami dwu żołnierzy w mundurach z czasów napoleońskich. Napis dokumentuje



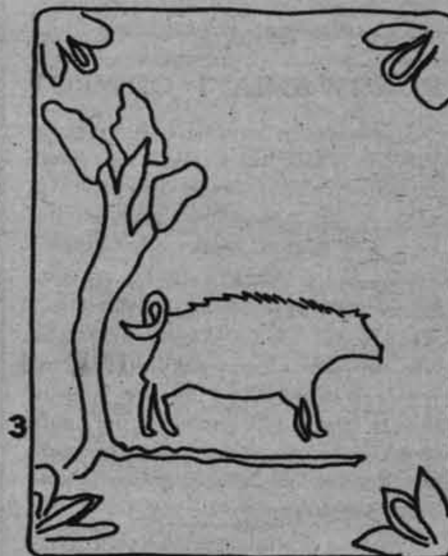
1

Rysunki nr. 1, 2, 3 i 5 — to kafle z Tylkowa w powiecie szczytneńskim. Nr 4 i 7 — ze Spręcewa w powiecie olsztyńskim.

2



3



Rysunki nr. 6 i 8 przedstawiają kafle ze wsi Narajty w powiecie szczytneńskim. Rysunki Dobiesława Walknowskiego.

4



stosunek mazurskiego chłopa do dziewiętnastowiecznych mocarstw sojuszniczych. Sentencji jest zresztą sporo i to rozmaitego rodzaju. Tej właśnie pasji pisania po kaflach zawdzięczamy wiele danych o ich twórcach. Skądbyśmy bowiem wiedzieli kim byli ci ludowi ceramicy, kiedy i gdzie tworzyli? Tego przecież nie pamięta żaden, choćby najstarszy mazurski chłop, gdyż zabytki kaflarstwa ludowego omawianego regionu pochodzą z pierwszej połowy XIX wieku. Na szczęście nasi kaflarze mieli zwyczaj umieszczać na jednym z kafli stawianego pieca datę wykonania, nazwisko i miejsce, w którym mieściła się pracownia kaflarska. Dzięki kaflowi z napisem „Johann Karpowitz, Neidenburg 1838" udało nam się określić tylkowski piec, nie znany olsztyńskiemu muzeum.

Nidzica, Szczytno, Pasym. Małe miasta, siedziby rzemiosł. Przeszło 100 lat temu różni Karpowicze i Nardzewscy, polscy garncarze o zniemczonych imionach, tworzyli tutaj malowanki kaflowe dla mazurskich „gburów". I chociaż tego rodzaju pstrokate piece już dawno znudziły się i wyszły z mody i w miastach i w pałacach, to w mazurskiej wiosce utrzymały się jeszcze przez długie lata. A i później, kiedy już pamięć zaginęła o staroświeckich zdunach, ich piece stały po chałupach przez całe pokolenia ku uciesze dzieciarni. Dziś jeszcze niejeden bezzębny staruszek z południowych Mazur i Warmii wspomina z lat dziecięcych owe piece, na których widnieli „chłopi w kapeluszach trzyusiatych i panny" i gdzie „było namalowane jak tańczyli i napisane zaraz — co robią".

CO Z TEGO ZOSTAŁO?

Część z tych zabytkowych pieców powędrowała do muzeów w Olsztynie i Szczytnie. Ale nie łudźmy się. Większość kafli zniszczała w czasie wojennej pożogi i powojennego szabru. Tak np. w jednej tylko Jabłonce (pow. Nidzica) w roku 1945 spłonęły wraz z chałupami aż dwa malowane piece! Nie mało też ich rozebrali sami Mazurzy jeszcze w okresie międzywojennym. Ktoby zważał na stary, dymiący piec skoro stać go na nową chałupę? Tak też stało się w Małaszewie koło Szczytna i Lipowie pod Olsztynem.

Ile jeszcze kafli bezcennych dla badaczy polskiej sztuki ludowej niszczeje do dnia dzisiejszego po mazurskich i warmijskich wioskach? Nie łatwo do nich dotrzeć szczupłemu personelowi muzeów regionalnych. Nie tak łatwo jest wyłowić te kilkanaście czy może kilkadziesiąt ostatnich przykładów sztuki mazurskich zdunów z morza wsi rozległego województwa. A jednak odszukanie ich nie przekracza bynajmniej możliwości indywidualnych badaczy — amatorów. W czasie kilku zaledwie krótkich wypadów raz po raz odkrywano te zdawałoby się wyłącznie muzealne unikaty. Oto grupa kafli — o której już wspomniałem na początku — z izby Alojzego Golana w Spręcewie (pow. Olsztyn). Oto w szczytneńskiej wsi Tylkowo sypie się w gruzy stojący w komórce u starego Frasy piec z 1838 roku. Oto w innej wiosce tego powiatu, w Narajtach, tkwi w piecu kuchennym niejakiego Butlera kilka malowanych kafli, które pod wpływem żaru lada dzień mogą prysnąć w kawałki. Właściciele tych wszystkich zabytkowych kafli chętnie pozbędą się ich pod warunkiem, że otrzymają wzamian odpowiednią ilość nowych. Na to się jednakże wcale nie zanosiło wtedy gdy prowadziliśmy poszukiwania w Olsztyńskiem. Kto wie, może już dziś większość ze znalezionych przez nas kaflowych obrazków nie istnieje? Na szczęście przerysowaliśmy je i zachowały się przynajmniej ich kopie.

SZUKAJCIE!

Ale co z resztą? Co będzie z tymi, do których nie zdążyliśmy dotrzeć i o których istnieniu nadal nie wiedzą muzea? A jeśli nawet wiedzą to nie mają środków na ich szybkie zabezpieczenie lub po prostu skopiowanie. Opowiadano nam, że np. we wsi Kozary pod Kętrzynem ktoś podobno takie kafle widział. Ktoś inny spotykał się z nimi w Dębie pod Ostródą. Jeszcze inni radzili ich szukać pod Olsztynem w Barczewku, Mondkach i Gedajtach... a nawet w samym Braniewie „u jednorękiego cieśli w domu". Jak widać poszukiwania ludowych kafli przypominają pracę detektywów ze Scotland Yardu. Ale trud ten opłaca się wielokrotnie bo każdy dawny kafel to jak gdyby jeszcze jeden znaleziony obraz ludowej galerii, o której wiemy tak niewiele i której grozi zagłada.

LESZEK DZIĘGIEL

5



6



7



8



SZACHULCOWA STARUSZKA

TADEUSZ CHRZANOWSKI

Mieszka we wsi Brzezinka w powiecie kluczborskim na Opolszczyźnie. W tej samej wsi w której znajduje się jeden z najpiękniejszych drewnianych kościołów śląskich. Ma równo sto lat, urodziła się bowiem w roku 1857 o czym dowodzi niezbicie napis na nadprożu. Bo staruszka o której mówię jest chatą wiejską, jedną z nielicznych na tym terenie chat konstrukcji szachulcowej (a znaczy to, że jej drewnianą konstrukcję wypełniono murem). Jest pobielona, więc jej „szachulcowość" widoczna jest najwyraźniej w szczycie zakończonym naczółkiem szalowanym listwami.

Naprzeciw naszej staruszki siedzi druga — maleńka chatynka drewniana konstrukcji zrębowej już tylko ze szczytem z szachulca. Że jest rówieśnicą, a kto wie czy nie starszą krewną pierwszej świadczy wejście zamknięte półkoliście, utworzone z mieczowań.

I wreszcie dziadzio, a raczej pradziadzio — lamus, stojący wśród nowszych zabudowań obejścia. Drewniany, stawiany na zrąb, z podobnie ukształtowanym półkolistym wejściem (tyle że dziś po mieczowaniach pozostały ślady), nad którym napis głosi że ów skromny budynek wzniesiono w roku 1759.

Niestety ani babcia ani pradziadzio nie miewają się dobrze: na babci dach się wali, a na pradziadku nie ma go już w ogóle. Wiem, że na Opolszczyźnie wiele tego rodzaju zabytków chyli się do upadku, że konserwator nie może wszystkich uratować, ale — wobec ich wieku, wobec charakterystycznej konstrukcji — może wartoby przynajmniej staruszków z Brzezinki pomierzyć, by przetrwała po nich przynajmniej dokumentacja a nie tylko ułomna pamięć.



Drewniana chata z szachulcowym szczytem we wsi Brzezinka, powiat kluczborski. Fot. Tadeusz Chrzanowski. Poniżej: napis nad wejściem do lamusa w Brzezince.

9 z Junij Ao 1759

CUDZE CHWALICIE...

do wiadomości pana (g) z „Turysty"

„Turysta" w nrze 9 zamieszcza w rubryce kroniki zagranicznej notatkę informującą o imprezach turystyczno-krajoznawczych młodzieży w ZSRR. Przy czym zaznacza, że „...ich formy pracy są bardzo zbliżone do form stosowanych w naszych Szkolnych Kołach Turystyczno-Krajoznawczych. Istotna różnica polega na tym, że zadania dla letnich wypraw wskazywane są drużynom nie przez nauczycieli, lecz przez instytuty naukowo badawcze... np. zbieranie materiałów etnograficznych...". Przy tym podaje, że te formy pracy stosuje młodzież ZSRR od lat 11.

Otóż twierdzenie autora notatki (g) jest nieścisłe i oparte na nieznajomości programu, metod pracy i wyników poszukiwań naszych kół krajoznawczych, które pracowały do roku 1950 a teraz wznawiają swą pracę jako szkolne koła krajoznawczo-turystyczne. Nasze koła krajoznawcze młodzieży szkolnej nie od lat 11, ale od roku 1919 współpracują z instytutami naukowymi na podstawie kwestionariuszy dostarczanych przez naszych naukowców. Już w roku 1927 (a więc trzydzieści lat temu!) ukazała się w materiałach etnograficznych Polskiej Akademii Umiejętności praca uczniów Seminarium Nauczycielskiego w Tomaszowie Mazowieckim pt. „Zamki drewniane przy drzwiach" opracowana na podstawie kwestionariusza prof. Adama Fiszera. Komisja Kół Krajoznawczych Młodzieży Szkolnej, która kierowała pracami kół młodzieży wydała około trzydziestu kwestionariuszy, odpowiedziami na które wypełnione są 24 roczniki „Orlego Lotu", z których korzystają pracownicy naukowi. A więc nie 11 lat ale prawie bez mała czterdzieści współpracują nasze koła krajoznawcze z instytutami naukowymi. Szkoda, że pan (g) przed napisaniem tej notatki nie zapoznał się z moim artykułem umieszczonym w 5-tym zeszycie „Turysty" na stronie 7.

LEOPOLD WĘGRZYNOWICZ

JUŻ 140 Szkolnych Kół Krajoznawczo-Turystycznych istnieje na terenie woj. krakowskiego. Praca tych kół była tematem obrad Prezydium Wojewódzkiej Rady Metodycznej. Posiedzenie to odbyło się 19 września 1957 w Krakowie pod przewodnictwem pioniera krajoznawstwa młodzieżowego prof. Leopolda Węgrzynowicza. Na wniosek kierownika Szkolnego Wojew. Ośrodka Krajoznawczo-Turystycznego, dra Józefa Staśko opracowano i zaakceptowano ramowy plan pracy Rady na najbliższy okres.

*

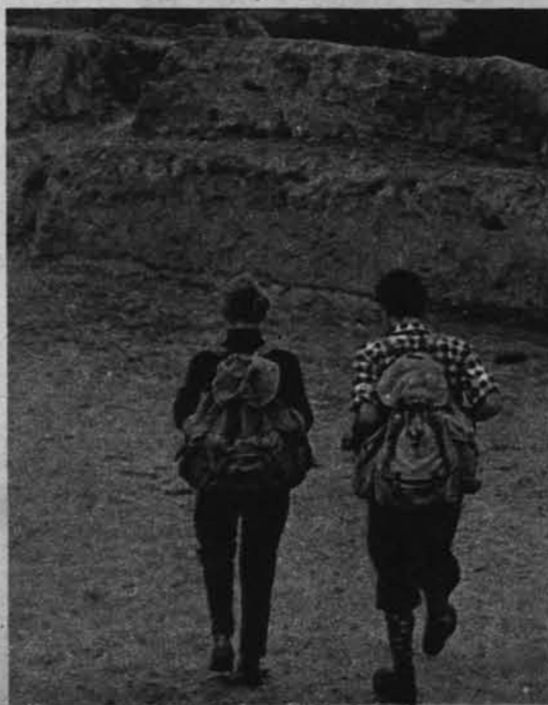
O TYM jak pogłębić działalność naukową młodzieżowych kół krajoznawczych dyskutowano na ogólnopolskiej konferencji kierowników Szkolnych Wojewódzkich Ośrodków Krajoznawczo-Turystycznych. Odbyła się ona w Kielcach, w dniach 23, 24 i 25 września br. Na szczególną uwagę zasługiwały projekty kwestionariuszy do badań terenowych.





TEKST: M. LECHOWSKA
ZDJĘCIA: W. PLEWIŃSKI





Nowoczesny turysta dążąc do zapewnienia sobie na wycieczce maksimum wygody nie rezygnuje bynajmniej z estetycznego i schludnego wyglądu. Toteż jedną z charakterystycznych cech właściwie pojętej mody turystycznej jest połączenie praktyczności z elegancją. Oto przykład ubioru na jesienną wycieczkę pieszą:

DLA KOBIET: sweter i długie wąskie spodnie, które modernizujemy podwijając pod kolana. Takie „trzyćwierciowe" spodnie są przede wszystkim wygodne; umożliwiają swobodniejsze poruszanie się. Na głowie — płócienna chustka w pasy (modne!), na nogach — wibramy lub przynajmniej „pionierki". Wełniane skarpety do kolan.

DLA MĘŻCZYZN: gruba (ciepła) koszula wełniana lub bajowa (sweter w plecaku) i krótkie wąskie pumpy. Sznurowanie pump pozwala na regulowanie szerokości zakończenia nogawek, zależnie od grubości skarpet. Skarpety: wełniane, mogą być w barwną kratę. Buty: tzw. wibramy, o grubej, karbowanej podeszwie gumowej. (okładka i zdjęcie 1).

Pionierki i wibramy są w zasadzie jedynym obuwiem nadającym się na wycieczki, nawet krótkie, jednodniowe. Popularne trampki — nadają się na treningi sportowe lub na letnie spacery. Na wycieczkach trampki nie chronią nogi przed wilgocią i przed zimnem, ich gumowa podeszwa słabo profilowana ślizga się po trawie i błocie. Podczas dłuższych marszów trampki odparzają stopy.

Podczas deszczu wdziewamy krótkie płaszcze typu „anorak" (zdjęcie 2) uszyte z cienkiego i lekkiego gumowanego batystu. Z przodu zamek błyskawiczny. Ten absolutnie nieprzemakalny płaszcz w zupełności zastępuje płócienne skafandry, które mimo impregnowania na ulewnym deszczu przemakają. Anorak jako krótszy i węższy od typowego płaszcza igielitowego, jest dzięki temu wygodniejszy. Batyst nie sztywnieje od zimna w przeciwieństwie do igielitu; jest także od niego trwalszy.

Ważnym szczegółem dobrego anoraka jest właściwe wszycie kaptura. (zdjęcie 3).

Żywność na drogę i ekwipunek ładujemy do plecaków (tylko ze stelażami metalowymi! — zdjęcie 4). Są one wygodniejsze i pojemniejsze od tornistrów, a jeszcze bardziej od... teczek i siatek. Stelaż odpowiednio rozkłada na plecach ciężar i utrzymuje odstęp między plecami a powierzchnią worka, co zapobiega poceniu się.

W numerze grudniowym podamy przykłady ubioru i ekwipunku zimowego.



MADONNA

Zbliżając się do niepozornej wiejskiej kapliczki w Suszcu (pow. Pszczyna), bynajmniej nie spodziewałem się, że kryje ona cenny, nieznany zabytek rzeźby. Nawet jeszcze na pierwszy rzut oka, duży drewniany posąg Matki Boskiej, banalnie polichromowany, częściowo zasłonięty prymitywnym ołtarzykiem i kwiatami — nie zdradzał swego właściwego charakteru. Ale po odsłonięciu i wydobyciu spośród otaczających przedmiotów i ozdób ujawniła się w całej okazałości delikatna i wytworna rzeźba średniowieczna.[1]

Madonna w swobodnym, pełnym wdzięku lekkim przegięciu, podtrzymując na lewym ramieniu Dzieciątko całkowicie ubrane, drugą ręką podaje Mu jabłko. Twarz Marii, zwrócona nieco w stronę Chrystusa, konwencjonalnie piękna, niestety zepsuta w swym wyrazie nieudolnym przemalowaniem. Prawa ręka, szczególnie dobrze modelowana i rzeźbiona, stanowi cenną i udaną partię rzeźby. Wytworne i subtelne traktowanie draperii, przechodzących swobodnie z form wybitnie płaskich, reliefowych, poprzez głębokie cięcia do pełnoplastycznej rzeźby — wskazuje na dłuto dobrego mistrza. Kompozycja postaci, przegiętej w lekkim kontrapoście, typowo potraktowane Dzieciątko, charakterystyczny układ draperii i wiele konsekwentnie opracowanych szczegółów, pozwalają rzeźbę stosunkowo ściśle określić pod względem odmiany stylu — i zadatować na trzecią ćwierć wieku XIV.

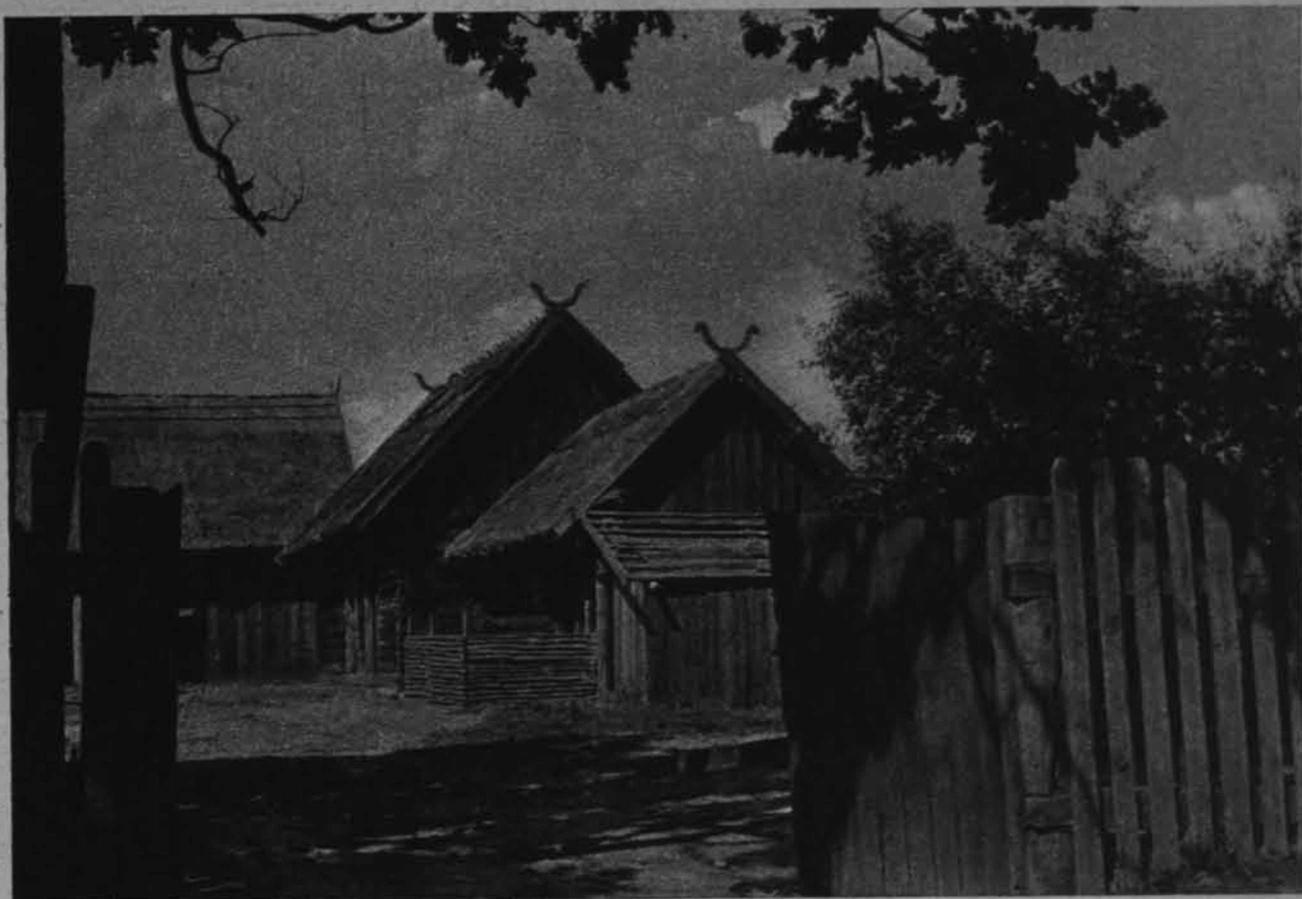
Ponadto Madonna z Suszca posiada szczególne znaczenie naukowe. W historii sztuki pewne tereny tworzą mniej lub więcej zamknięte kręgi, uwarunkowane względami historycznymi, wpływami artystycznymi czy geopolitycznymi, w obrębie których można prześledzić rozwój twórczości artystycznej w poszczególnych gałęziach sztuki w ciągu wieków. Najwybitniejsze, autoryzowane czy datowane, najbardziej charakterystyczne i „klasyczne" dzieła stwarzają podstawowe ramy i stają się fundamentem systematyki przedmiotu, o szczególnym dla nauki znaczeniu.

Takim tematem, w zasadzie dość konkretnie wyodrębnionym terytorialnie i kilkakrotnie starannie naukowo opracowanym, jest plastyka gotycka na Górnym Śląsku. Za najwcześniejsze zabytki rzeźby drewnianej uważane są dwa posągi Matki Boskiej siedzącej na tronie z ok. poł. w. XIV: z Miasteczka Śląskiego i Sadowa (ta ostatnia od dawna zaginiona), przypisywane do tzw. „kręgu Madonn na lwie". Chronologicznie po nich następują na Górnym Śląsku już zabytki z początku XV wieku należące do tzw. „okresu pięknych Madonn"). — Rzeźba z Suszcza poprzedza tą grupę, stanowiąc odosobniony przykład zabytku z znacznie wcześniejszego okresu, tym samym zajmuje ważną pozycję w systematyce przedmiotu.

Madonna z Suszca ma jednak pokrewne sobie zabytki — ale na terenie Małopolski. Jak się wydaje, jest ona najbardziej zbliżona (choć nie bez pewnych różnic) do znanej rzeźby z Kaplicy Szwedzkiej w Nowym Sączu, uważanej za „klasyka swego typu", a poprzez nią wiąże się z grupą, występującą na terenie Sądeczyzny i Spisza. Stylistyczne pokrewieństwo wykazują także współczesne rzeźby z Lipinek (Gorlickie) i Prandocina (obecnie w Krakowie). Te ostatnie i im podobne rzeźby Marii z Dzieciątkiem ikonograficznie przedstawiają „Marię-Królową" z berłem w ręce, podczas gdy Maria z Suszcza (a także wspomniana grupa sądecka) — ma charakter bardziej „intymny", macierzyński.

Nie będzie nas jednak dziwić pokrewieństwo wspomnianych rzeźb. Przecież do r. 1822 te tereny Śląska należały do Diecezji Krakowskiej, a związki artystyczne Małopolski, Spisza i Śląska w średniowieczu są dawno stwierdzone. Odkrycie rzeźby w Suszcu jest ważnym przyczynkiem i do tego zagadnienia.

Marian Kornecki



SKANSEN NA KURPIOWSZCZYŹNIE

DOKOŃCZENIE ZE STR. 32

prowadzić także Chętnik. Wybuch wojny 1939 r. pokrzyżował te zamiary. Już w pierwszych dniach wojny Muzeum w Nowogrodzie uległo zniszczeniu. Pozostały z niego tylko dwie sędziwe barcie: dębowa i sosnowa.

Przykład Kurpiowszczyzny świadczy o tym, jak wiele może zdziałać mimo zniszczeń wojennych i trudności materialnych ofiarna praca działaczy regionalnych prowadzona przez wiele lat. Tego rodzaju regionalistów może pozazdrościć Kurpiowszczyźnie niejeden region o niemniej ciekawych tradycjach kultury ludowej, mimo to często zupełnie nieznanych szerszemu ogółowi społeczeństwa.

Próbą wskrzeszenia tradycji „kurpiowskiego skansenu" był dział Rejonowej Wystawy Rolniczej w Łomży zatytułowany „Dawne rolnictwo na Kurpiach". Zorganizowana przez kierowniczkę muzeum w Łomży Jadwigę Chętnikową, przy finansowym poparciu Muzeum Narodowego w Warszawie, wystawa ta pokazała dawne metody uprawy roli. W dawnych brogach zgromadzono zabytkowe drewniane narzędzia rolnicze oraz przyrządy gospodarki domowej a wśród nich żarna do mielenia zboża różnych epok i typów. Stał tu także drewniany konny kierat do młynków, sieczkarni i młocarni. Na kilku zagonach rosły rośliny jadalne, hodowane ongiś na Kurpiowszczyźnie, a dziś zarzucone.

Głównym jednak punktem zainteresowania zwiedzających wystawę była kurpiowska chata, zbudowana przez miejscowych majstrów według dawnych wzorów. Wnętrze, na które składały się tradycyjne kurpiowskie sprzęty domowe, ozdobiono tkaninami, wycinankami, ceramiką, figurą Chrystusa Frasobliwego uzupełniono manekinami w barwnych strojach.

U góry: zagroda z południowej Kurpiowszczyzny. Fot. T. Chrzanowski. Poniżej: dawny drewniany kierat jednokonny, częściowo zrekonstruowany, na Wystawie Rolniczej w Łomży. Obok: ozdobny nadokiennik z chałupy południowo-kurpiowskiej. Fot. T. Chrzanowski. Na stronie następnej: fragment kurpiowskiej zagrody, pokazanej na Wystawie Rolniczej w Łomży w roku 1956.





SKANSEN NA KURPIOWSZCZYŹNIE



NATALIA CZECHOWICZOWA

Pod koniec XIX w. powstał w Szwecji nowy rodzaj muzealnictwa. Stworzył go Artur Hazelius, miłośnik kultury ludowej, której zabytki ginące i niszczejące postanowił ratować i chronić. Zadaniu temu poświęcił pracę swego życia, otwierając nową dziedzinę rozwoju etnografii i przeobrażając metody pokazu zbiorów.

Z nużącego szablonu gablotek i szaf z etykietkami przeniósł zabytki kultury i sztuki ludowej w atmosferę życia codziennego, do zabytkowych, starodawnych domostw, przedstawiających różne epoki rozwoju szwedzkiej architektury ludowej. Zostały one rozmieszczone w krajobrazie pięknej przyrody wśród lasów, łąk i pól, na 30 hektarowym terenie wyspy Djürgarden w Sztokholmie. Powstało osiedle muzealne na wolnym powietrzu, pod otwartym niebem, udostępnione dla publiczności w 1891 r. Nazwano je „Skansen", co po szwedzku znaczy szaniec, od znajdującego się tam dawnego obronnego szańca. Osiedle muzealne stało się symbolem obrony szwedzkiej kultury ludowej.

Nazwa ta przyjęła się nie tylko w państwach skandynawskich, gdzie idea skansenowska rozwinęła się imponująco, lecz i w innych krajach, w których powstawały muzea tego typu.

Wieści o nowatorskich prądach dochodziły i do Polski, gdzie miłośnicy ludoznawstwa tworzyli nowe formy etnograficznej wystawy według idei Hazeliusa.

Na Kurpiach takim badaczem zabytków kultury ludu puszczańskiego, był Adam Chętnik, Kurp z Nowogrodu nad Narwią. Widząc, jak niszczeją i giną bezpowrotnie okazy przyrody, kultury i sztuki kurpiowskiej rozpoczął od wczesnej młodości ich gromadzenie.

Od 1919 r. do wybuchu drugiej wojny światowej w 1939 r. prowadził Chętnik pełną wysiłków pracę nad tworzeniem osiedla muzealnego pod otwartym niebem. Tłem osiedla były wody Narwi u ujścia do niej Pisy i rozległy widok z wysokiego brzegu nad rzeką na kurpiowskie lasy. Tutaj na ćwierćhektarowym placu, zakupionym z funduszów żony Chętnika — Zofii, rosło powoli Kurpiowsko-Nadnarwiańskie Muzeum na wolnym powietrzu.

Dwa drewniane budynki, w których mieściły się zbiory działów przyrodniczego i etnograficznego, utrzymane były w charakterze dawnego budownictwa kurpiowskiego. Cechy te posiadały również dwie bramy: „Górna" i „Dolna", wiodące na teren muzeum.

Potężna, 500 letnia barć sosnowa, której sprowadzenie połączone było z niemałym trudem i kosztem, mówiła o prastarym drzewostanie i gospodarce bartniczej. Mówiły o niej ule różnych typów i cała dawna pasieka, stojąca w ogrodzie. Rozrzucone w nim były przydrożne kapliczki i figury, a w czterech budynkach-schronach gromadzono okazy drzew-olbrzymów, starodawne narzędzia rolnicze i przybory łowieckie. Bogaty sprzęt rybacki miał być pokazany w przygotowanym osobnym dziale.

Zamierzeniem Chętnika było przedstawienie całokształtu życia, pracy i kultury kurpiowskiej. Najbardziej interesował się on budownictwem ludowym. W kurpiowskiej chacie stojącej na terenie skansenu zamierzał ponadto zorganizować wytwórczość regionalną na warsztatach: tkackim, snycerskim i bursztyniarskim. Chciał przedstawić również duży drewniany model jednego z zabytkowych kościołów miejscowych z wyposażeniem ikonograficznym. Oba zamiary, odkładane dla braku środków, nie zostały niestety urzeczywistnione.

W r. 1927 dokonane zostało uroczyste otwarcie Muzeum Kurpiowsko-Nadnarwiańskiego. Założyciele jego, Adam i Zofia Chętnikowie, przekazali je Polskiemu Towarzystwu Krajoznawczemu bez zwrotu kosztów za plac i eksponaty, jako fundację dla polskiej nauki i kultury. Kierownikiem pozostał Adam Chętnik, kustoszką — Zofia Chętnikowa.

W ostatnich latach przed wojną 1939 r. projektowano stworzyć w parku miejskim w Ostrołęce Kurpiowskie Osiedle Muzealne typu skansenowskiego, włączając do niego eksponaty z Muzeum w Nowogrodzie. Nową placówkę miał

DOKOŃCZENIE STR. 31



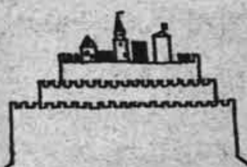
Najstarszym pomnikiem przyrody na Ziemi Lubuskiej jest potężny dąb „Chrobry" stojący koło wsi Piotrowice. Pod tym dębem jak podaje legenda spoczywał Bolesław Chrobry podczas polowania w puszczy. Przyrodnicy określają wiek „Chrobrego" na ponad 1000 lat. Obwód dębu-olbrzyma równa się 9,50 m.

*

„Tursko maalo" to stara turecka dzielnica Wardaru. Tu przed sklepami siedzą w kucki mężczyźni w czerwonych fezach. Uliczkami przechodzą karawany jucznych osłów. A tuż za rogiem nowoczesne gmachy. Olbrzymie afisze reklamują ostatnie amerykańskie filmy, miejscowe „corso" co wieczór staje się rewią paryskich modeli... O swej wędrówce przez Macedonię opowiada w najbliższym numerze ZIEMI Zbigniew Gołąb.



Koło Myślenic znajdują się ukryte w lesie szczątki starodawnej baszty. Według zdania archeologów krakowskich — baszta została wzniesiona ok. XIII w. Grubość murów wynosi około 4 m. Jak głosi podanie baszta została zbudowana w celu sprawowania kontroli nad drogami handlowymi przechodzącymi przez Myślenice.



Opasane nową, podwójną linią murów obronnych i fosami, najeżone trzydziestoma basztami w pasie wewnętrznym i trzema w pasie zewnętrznym — miasto było warownią. Przyszła wojna, do której tak starannie przygotowano miasto. Długa wojna trzydziestoletnia. Co stało się dalej, dowiecie się za miesiąc.

*

Na Kaszubach w miejscowości Wiela odsłonięto pomnik Jana Hieronima Derdowskiego — pisarza i poety Ziemi Kaszubskiej.

W nadleśnictwie Nużec pow. Siemiatycze strażnicy łowieccy zauważyli stadko łosi liczące 8 sztuk. Przyrodnicy sądzą że prawdopodobnie przywędrowały one tu z odległego ok. 300 km. siedliska łosi znajdującego się w lasach Rajgrodzkich, albo z części Puszczy Białowieskiej położonej po radzieckiej stronie.



W Toruniu w trakcie prac nad pogłębieniem koryta Wisły wydobyto z dna rzeki lufy i kule armatnie które według przypuszczeń archeologów toruńskich pochodzą z okresu najazdu szwedzkiego. Są to prawdopodobnie szczątki szwedzkiego okrętu wojennego.



Jaki głos wydaje świnia kiedy jest głodna? Jaki głos wydaje kura gdy zniesie jajko? — oto wyjątki z kwestionariusza do badań słownictwa gwarowego. rozesłanego do młodzieżowych kół krajoznawczych. Piszemy o tym w listopadowym numerze ZIEMI.

*

W woj. olsztyńskim na torfowisku k. Fromborka (pow. Braniewo) stwierdzono pierwszy wypadek wegetacji brzozy tundrowej. Wysokość krzaka wynosi niewiele ponad 60 cm. Ponieważ w okolicy tej rosną również inne okazy flory m. i. lipa syberyjska — projektuje się założenie w rejonie Fromborka rezerwatu przyrodniczego.

Na terenie Zakopanego został powołany Związek Górali Tatrzańskich. Nowe stowarzyszenie kulturalno-regionalne będzie miało na celu m. i. utrzymanie i rozwijanie wartości społeczno - kulturalnych Podhala, Spisza i Orawy, a także podniesienie poziomu materialnego i kulturalnego ludności góralskiej.

*

Nowotarski P.D.K. zorganizował ciekawą wystawę poświęconą twórczości Stanisława Ignacego Witkiewicza. Kierownictwo wystawy Witkiewiczowskiej projektuje objazd po większych miejscowościach naszego kraju.

*

Z inicjatywy Chłopskiego komitetu Społecznego w Wąsoczu pow. Kłobuck rozpoczęto odbudowę zniszczonego w okresie okupacji pomnika powstańców z 1863 r.